W numerze
SPIS TREŚCI ROCZNIKA 1954

N O W O Ś Ć !
POLSKIE SIŁY ZBROJNE
W DRUGIEJ WOJNIE ŚWIATOWEJ
KAMPANIA WRZEŚNIOWA 1939
Cz. II: działania od 1 do 8 września.
816 stron, 44 szkice, płóc. okł.
Cena z przesyłką 29/-.
Do nabycia:
w Katolickim Ośrodku Wydawniczym
„VERITAS"
12, Praed Mews, London, W. 2.

ŻYCIE

KATOLICKI TYGODNIK RELIGIJNO-KULTURALNY

CENA 1 sh

JEŚLI LEKI, TO Z APTEKI
GRABOWSKIEGO
175, DRAYCOTT AVENUE,
LONDON, S.W.3. ENGLAND

ROK IX. Nr 4 (396)

LONDYN, 23 STYCZNIA 1955 R.

WŁADYSŁAW JELONEK

PRACE STOLICY APOSTOLSKIEJ
W ROKU PAŃSKIM 1954

„Idąc tedy, nauczajcie wszystkie narody" — przykazanie to Chrystusowe, wypowiedziane do Apostołów, Kościół katolicki spełnia od chwili swego założenia. Wyraża się ta praca Kościoła w dwojaki sposób: przez nauczanie słowem i przez nauczanie przykładem.

B O G U R O D Z I C A

W roku 1954 na pierwszy plan wysunął Kościół — bo był to pierwszy w jego dziejach Rok Maryjny — Niepokalaną Dziewicę Matkę.

Teologowie całego świata wydawali w tym roku naukowe i popularne dzieła i broszury, omawiające treść i znaczenie Niepokalanego Poczęcia, sławili wielkość Maryi — arcydzieła wszechmocy i miłości Boga, a pod koniec roku na dni 24 — 28 października przybyli do Rzymu na obrady Międzynarodowego Kongresu Maryjno-Mariologicznego. Syntezą dotychczasowych rozpraw stała się około tysiąca stron licząca encyklopedia maryjna „Theotokos".

Biskupi wydawali listy pasterskie dla pouczenia wiernych o Bogurodzicy, przewodniczyli maryjnym kongresom diecezjalnym i narodowym, koronowali cudowne obrazy i statuy Maryi.

Ogromnym wkładem w dziedzinę mariologii i czci należnej Maryi stały się pisma i przemówienia Piusa XII. Przede wszystkim dwie encykliki „Fulgens Corona" z 8 września 1953, omawiająca dogmat Niepokalanego Poczęcia i ustanawiająca Rok Maryjny, i „Ad Caeli Reginam" z 11 października 1954, wykazująca na przykładach, jak Matkę Najświętszą zawsze czczono jako Królową i ustanawiająca na dzień 31 maja święto Maryi Królowej; dalej, przemówienia z 24 października do Międzynarodowego Kongresu Maryjno-Mariologicznego w Rzymie i z 1 listopada w bazylice św. Piotra na Watykanie z racji ukoronowania obrazu „Salus Populi Romani" i uroczystego ogłoszenia święta Najśw. Maryi P. Królowej Nieba i ziemi; przemówienie z 14 lutego na „Dzień chorych"; pismo z 13 sierpnia do arcybiskupa Maurera w Boliwii; pisma i przemówienia: z 8 września do Sodalicyj Mariańskich, z 5 i 7 września, z 12, 17 i 18 października i w grudniu do kongresów maryjnych w Belgii, Brazylii, Hiszpanii, Urugwaju, na Sycylii, w Libanie, Kolumbii, Indiach, Peru.

Warto jeszcze wspomnieć, że zgodnie z zachętą Piusa XII w encyklice „Fulgens Corona" do odnowienia obyczajów chrześcijańskich, św. Kongregacja Soboru z polecenia Papieża wystosowała pod datą 15 sierpnia list do ordynariuszy „De inhonesto vestiendi more" (O nieprzystojnym ubiorze), wykazujący potrzebę przeciwdziałania niegodnemu i bezwstydnemu sposobowi ubierania się.

W całym świecie katolickim rozbrzmiewała zgodnym chórem cześć oddawana Maryi, pielgrzymowano do miejsc uświęconych Jej objawieniami i do Jej obrazów wsławionych łaskami. A nikt nie jest w stanie wymienić i zliczyć łask, jakie w tym Roku Maryjnym wierni za pośrednictwem Bogurodzicy uzyskali dla siebie i dla drugich.

KANONIZACJE I BEATYFIKACJE

Obydwa ostatnie pontyfikaty, Piusa XI i XII, w zadziwiający sposób wyróżniają się spośród pontyfikatów poprzednich stuleci. Nigdy nie odbywało się tyle beatyfikacyj, a zwłaszcza kanonizacyj.

W roku 1954 Pius XII kanonizował 6 osób, a beatyfikował 3. W przemówieniach okolicznościowych wskazał na opatrzności tych beatyfikacyj i kanonizacyj.

Św. Pius X zamierzając odnowić wszystko w Chrystusie, wskazał przez swą działalność prawodawczą, że rzeczywistość istnienia Boga jest początkiem i fundamentem wszelkiego porządku, wszelkiej sprawiedliwości, wszelkiego prawa w świecie. Rozdziałowi wiary i wiedzy przeciwstawił jedyne możliwe i realne ocalenie: prawdę katolicką, biblijną, wiary przyjmowanej jako rozumne posłuszeństwo. Na czasy dzisiejsze wskazał jedyną drogę poprawy i uzdrowienia: wczesną i częstą Komunię św.

Św. Piotr Chanel przykładem swego życia uczy, że pozorna jałowość i niepowodzenie trudów, niezrozumienie, a nawet cicha lub jawna niechęć nie powinny osłabiać stałej i systematycznej działalności, która winna być wsparta życiem czystym i umartwionym, nieustanną modlitwą, bo to toruje w duszach bliźnich drogę łasce Boskiej.

Św. Gaspar del Bufalo jest wzorem niezrażania się przeszkodami na obranej drodze i zarazem wzorem bezwzględnego posłuszeństwa Stolicy Apostolskiej. Gdy wśród trudności założył zgromadzenie misjonarzy Krwi Przenajdroższej, nie zawahał się powiedzieć Papieżowi Leonowi XII, że natychmiast posłucha, jeśli Papież poleci mu zamknąć wszystkie domy instytutu. Jeśli zważy się, ile godzin przemyślenia i modlitwy, ile trudu i zwalczania przeciwności wymaga założenie zgromadzenia zakonnego, widzi się ogrom heroizmu Świętego, który gotów był na przekreślenie wszystkiego, gdyby tego zażądał Papież. Oto wzór na czasy dzisiejsze, które wymagają od wiernych niejednokrotnie ofiar i wyrzeczeń w imię posłuszeństwa nieomylnemu Kościołowi — i to nie tylko od wiernych w krajach Kościoła Milczenia.

Św. Józef Pignatelli na przykładzie swego życia wykazuje, że Pan Bóg, który domaga się często od swoich wybranych, by dla Jego chwały dokonywali wielkich dzieł, chce również, by umieli cierpieć w posłuszeństwie i milczeniu. Od św. Józefa Pignatelli niemniejszej, niż przy dokonywaniu wielkich dzieł, ofiarności i oddania się wymagała dzielna postawa wśród katastrofy okrętu (zniesienie zakonu jezuitów) i przygotowywanie z wytrwałością i ze świętym uporem godziny, w której miał znowu zapanować spokój (przywrócenie zakonu jezuitów).

Dotychczas najmłodszym kanonizowanym wyznawcą był św. Stanisław Kostka. Obecnie o trzy lata młodszym jest, mający w godzinie śmierci niecałe 15 lat zaledwie, św. Dominik Savio. Podobnie jak święty nasz młodzieniaszek, św. Dominik odznaczał się wybitnym nabożeństwem do Matki Najświętszej i w dniu 8 grudnia 1854, dniu ogłoszenia dogmatu Niepokalanego Poczęcia, doznał ekstazy z miłości do Niej. Jest też on na nasze czasy dla młodzieży męskiej przykładem świątobliwego życia.

Św. Maria Crocifissa Di Rosa świeci przykładem wyrzeczenia się wszelkiej marności, wszelkich wymagań mody, wszelkich widowisk światowych, wszelkiego pobłażania naturze, wszelkich widoków na małżeństwo; za cenę tych wyrzeczeń zajęła się dziewczętami i kobietami z ludu, a w czasie epidemii cholery wykazała heroiczność wysiłków w służbie chorych i przykładem swym porwała rówieśniczki. Jest wzorem dla tych niewiast, które z różnych powodów nie mogą wyjść za mąż, i zachętą do wyrzeczenia się przynajmniej wszelkich gorszących widowisk i wybryków mody.

Wszyscy kanonizowani w roku 1954 święci mieli wielkie nabożeństwo do Matki Najświętszej, do której uciekali się we wszystkich potrzebach — także i pod tym względem są oni wzorem na czasy dzisiejsze.

BIBLIOTEKA POLSKA
KATOLICKIEGO OŚRODKA WYDAWNICZEGO
„V E R I T A S",

OSTATNI TYDZIEŃ PRZEDPŁATY
NA TOM PREMIOWY

Z O F I I K O S S A K

ROK POLSKI

Zbiór szkiców

o polskich obrzędach religijnych, charakterze wiary ludu i zwyczajach związanych ze świętami kościelnymi w Polsce.

Książka niezbędna w świetlicach i szkołach polskich na obczyźnie. N a j m i l s z a lektura rodzinna.

C e n a w p r z e d p ł a c i e 8/6 i 6 d. za przesyłkę dla tych abonentów „BIBLIOTEKI POLSKIEJ", którzy w ciągu najbliższego roku zamówią co najmniej 6 tomów „BIBLIOTEKI".

Czeki, przekazy pocztowe (P.O. i M.O.) prosimy kierować na

„VERITAS FOUNDATION", 12, Praed Mews, London, W.2.

DZIAŁALNOŚĆ NAUCZYCIELSKA PIUSA XII

Mimo swej choroby w pierwszych miesiącach i pod koniec roku 1954 Papież nie szczędził swych sił w sprawie Kościoła katolickiego i niestrudzenie spieszył z oświetlaniem zagadnień chwili bieżącej w duchu nauki Chrystusowej, wskazując na zastosowanie w praktyce życia przykazań Boskich i zasad religii katolickiej. W roku 1954 Papież wydał cztery encykliki: „De Sacra Virginitate" z 25 marca, „Ecclesiae Fastos" z 5 czerwca, „Ad Caeli Reginam" z 11 października i „Ad Sinarum Gentem" z 7 października, ogłoszoną dopiero 22 grudnia. Problemy chwili obecnej omawiał Papież w swych przemówieniach, których wygłosił w minionym roku 54: 23 po francusku, 15 po włosku, 8 po hiszpańsku, 3 po angielsku, 2 po łacinie, 2 po niemiecku i 1 po portugalsku.

Trudno w sprawozdawczym artykule omówić szczegółowo treść tych przemówień. Trzeba jedynie ograniczyć się do suchego zestawienia przynajmniej niektórych z nich.

W sprawach dotyczących wychowania: 5 stycznia do zjazdu narodowego i kierowników Włoskiej Unii Katolickiej Nauczycieli Szkół Średnich, 12 stycznia do Międzyamerykańskiego Kongresu Wychowania Katolickiego, 2 maja do chłopców i dziewcząt szkół powszechnych przybyłych z Włoch na zjazd maryjny do Rzymu.

W sprawach radia i telewizji: 11 stycznia do wiernych republiki chilijskiej z powodu założenia stacji radiowej przez katolików, 6 czerwca do widzów telewizji z kilku krajów po raz pierwszy przez Union Européenne de Radiodiffusion złączonych we wspólnym programie. Ponadto wszystkie istotne problemy związane z telewizją omówił Papież w magistralnym pisemnym pouczeniu z 1 stycznia do biskupów włoskich z racji powołania do życia telewizji włoskiej — oczywiście list ten, aczkolwiek adresowany do biskupów włoskich, ma niewątpliwie znaczenie dla całego świata katolickiego.

W sprawach związanych z zawodem lekarskim: 4 kwietnia do zjazdów radiologów, wśród nich z Włoskiego Stowarzyszenia Radiologii Lekarskiej, 11 września do III Międzynarodowej Konferencji Polyomyelite, tegoż dnia do Międzynarodowego Kongresu Historii Farmacji, 17 września do XIV Międzynarodowego Kongresu Historii Medycyny, 30 września do VIII Kongresu Międzynarodowego Stowarzyszenia Medycznego. (W tym ostatnim Papież omówił m.in. zagadnienie wojny A. B. C.: atomowej, bakteriologicznej, chemicznej).

Dla przykładu, że we wszystkich dziedzinach życia ludzkiego obowiązują zasady moralności Chrystusowej i że wobec tego najwyższy nauczyciel Kościoła, którym jest Papież, jest nie tylko uprawniony, ale wręcz zobowiązany głos zabierać we wszystkich sprawach życia ludzkiego prywatnego i publicznego, niech wystarczy, że w roku 1954 Papież przemawiał m. in.: 30 czerwca do uczestników XIII Zawodów Gimnastycznych z całego świata, 10 września do VI Kongresu Międzynarodowego Związku Krawców, 24 września do X Zebrania Generalnego Międzynarodowej Unii Geodetycznej i Geofizycznej, 29 września do Międzynarodowego Kongresu Technicznych Stowarzyszeń Hutniczych, 4 października do V Zebrania Generalnego Związku Uprawiaczy Lnu i Konopi, 5 października do IV Kongresu Międzynarodowego Pracowników Ceramicznych, 15 października do XXIII Zjazdu instytucji „Commission Internationale de Police Criminelle", 24 listopada do VII Zebrania Generalnego Międzynarodowego Stowarzyszenia Hotelarskiego.

W sprawach społecznych i świata pracy zabrał Papież głos m.in.: w liście z 14 lipca do Tygodnia Społecznego we Francji, 19 listopada do uczestników CXXVII sesji Rady Administracji Międzynarodowej Organizacji Pracy.

NIEKTÓRE INNE SPRAWY

Wspomnijmy jeszcze o kilku dziedzinach pracy Stolicy Apostolskiej w roku 1954.

W brewiarzu wpisano następujące ustanowienia przez Piusa XII Patronami: 8 maja św. Michała Archanioła patronem radiologów i radioterapeutyków, 15 maja św. Jana Baptysty z La Salle patronem nauczycieli, 2 sierpnia św. Alfonsa Liguori patronem spowiedników i moralistów, 27 sierpnia świętego Józefa Kalasantego patronem szkół chrześcijańskich, 15 listopada św. Alberta Wielkiego patronem przyrodników. Listem apostolskim z 1 lipca Papież ustanowił św. Marię Goretti drugą patronką miejscowości Nettuno, w której umarła z ran zadanych jej, gdy broniła swej cnoty czystości.

Normalną organizację kościelną wprowadził Papież w dalszych obszarach Afryki, podnosząc do godności diecezji prefektury apostolskie: Meru, Jos i Kaduna. W Europie wikariat apostolski Szwecji został normalną diecezją Sztokholmu.

Pod datą 2 kwietnia św. Kongregacja Konsystorialna wydała normy i uprawnienia dla kapelanów i dyrektorów dzieła „Apostolstwo Morza". Dalsze normy i uprawnienia dla kapelanów na okrętach wydała też sama Kongregacja pod datą 19 marca.

Sprawę głośną „księży-robotników" we Francji uregulowała konstytucja apostolska z 15 sierpnia, ustanawiając prałaturę „nullius" Pontigny.

Do modlitw ułożonych przez obecnego Papieża przybyły nowe: dla dzieci na Rok Maryjny (Acta Apostolicae Sedis str. 221), dla przebłagania Boga za bluźnierstwa (tamże str. 501) i do Matki Boskiej Królowej nieba i ziemi (tamże str. 665).

* * *

Zakończmy słowami z przemówienia Papieża po kanonizacji 5 Świętych: „Jeżeli siły zła nie zaprzestają, w biegu wieków, ataków swoich przeciwko dziełu Boskiego Odkupiciela, Bóg nie omieszka odpowiadać na pełne troski błagania swych dzieci w niebezpieczeństwie, wzbudzając dusze bogate w dary natury i łaski, by były dla swych współbraci pokrzepieniem i pomocą."

Władysław Jelonek

MODLITWA ZA ROSJĘ

Gdy jesteśmy na cichej Mszy św. w angielskim kościele, to w chwili jej zakończenia, gdy ksiądz schodzi już po stopniach ołtarza, słyszymy z jego ust słowa: „Let us pray for Russia". Cały kościół klęka i na zmianę z księdzem odmawia na intencję Rosji trzy „Zdrowaś Maryja".

Nie jest to, ściśle biorąc, modlitwa za Rosję, lecz modlitwa o jej nawrócenie. Modlitwa taka, na polecenie Ojca św., odmawiana jest od roku 1929 po cichej Mszy św. we wszystkich kościołach katolickich świata. Poprzednio, odmawiana była w podobny sposób modlitwa o załatwienie „kwestii rzymskiej", ale gdy traktat lateraneński w 1929 r. kwestię tę załatwił, wznawiając w Mieście Watykańskim suwerenność Państwa Kościelnego, modlitwę tę skierowano ku innemu celowi.

Czy wielu Polaków na emigracji uczestniczy w tej modlitwie — świadomie i pełnym sercem? Czy często odmawiana jest ona na zakończenie Mszy św. na nabożeństwach polskich? Wyznaję, że prawie nigdy nie słyszałem na emigracji słów od ołtarza: „Módlmy się o nawrócenie Rosji", aczkolwiek odmawiane są przepisane modlitwy.

Modlitwa ta w naszych ustach powinna być żarliwsza, niż w czyichkolwiek innych, bo nie ma chyba drugiego narodu na świecie, poza nami, który z nawrócenia Rosji mógłby wynieść tyle dobra, co my.

Wszystkie informacje z Rosji wskazują na to, że Rosja przeżywa dziś okres utajonego odrodzenia religijnego. Cerkwie są pełne. Nawet członkowie komsomołu i partii bardzo często po kryjomu chrzczą swoje dzieci i biorą śluby kościelne. Cóż by to był za przewrót, gdyby to odrodzenie sięgnęło szczytów hierarchii państwowej!

Oczywiście, na to, by się nawrócili pp. Malenkow czy Chruszczow, albo by nastąpiła w Moskwie rewolucja pałacowa, która by oddała władzę w ręce grupy generałów, będących kryptokatolikami czy po prostu kryptochrześcijanami, trzeba jest przemiany o rozmiarach cudu. Ale nawrócenie się rzymskiego cesarza, Konstantyna, zasiadającego na tym samym tronie, na którym poprzednio zasiadali Kaligula, Neron i Dioklecjan, było przecież właśnie takim cudem. O cud ten modli się cały świat katolicki. O cud ten kazała się modlić Matka Boska, ukazawszy się dzieciom w Fatimie. O cud ten winniśmy się z całą żarliwością modlić także — a raczej przede wszystkim — my.

W ustosunkowaniu polskiej emigracji do Rosji jest dziwna nuta uprzedzenia i pomieszania pojęć. To prawda, że Polska jest dziś podbita przez Rosję. To prawda jednak również, że w tej samej niewoli jest dziś i naród rosyjski. Trzeba rozróżniać między narodem rosyjskim a komunizmem.

Naród rosyjski, to od z górą 35 lat najbardziej dziś nieszczęśliwy naród świata, pogrążony w najgłębszym cierpieniu, poddany najstraszliwszemu uciskowi. Nigdzie nie było tak potwornych rzezi, tak straszliwych głodów, takich prześladowań religijnych, takiej szatańskiej perfidii w deptaniu godności ludzkiej, w rozbijaniu rodzin, w buntowaniu dzieci przeciw rodzicom, w świętokradztwie i bluźnierstwie, jak w Rosji. Naród ten zasługuje na współczucie, na życzliwość — i na modlitwę, a nie na nienawiść. Gdybyśmy mieli rozciągać na ten naród naszą nienawiść do komunizmu, zasłużylibyśmy sobie na to, by nas Pan Bóg ukarał identyfikowaniem przez inne narody narodu polskiego z kastą Bierutów i Rokossowskich.

To prawda, że na czele rosyjskiego i światowego komunizmu stało i stoi wielu Rosjan. Ale ilu, z drugiej strony, Żydów (Trocki, Zinowiew, Kamieniew, Kaganowicz, Radek, Litwinow i tylu tylu innych), Gruzinów (Stalin, Ordżonikidze, Beria), Polaków (Dzerżyński)! Można bez mała powiedzieć, że komunizm był reakcją mniejszości narodowych przeciwko rządom rosyjskim w Rosji.

Jeśli świat (i Polska) mają być od niebezpieczeństwa komunistycznego uwolnione, trzeba, by narody uciśnione były z sobą solidarne. Także, by i naród polski i rosyjski umiały znaleźć z sobą wspólny język. A już w każdym razie, by się do siebie wzajemnie nie odnosiły z nienawiścią.

Czy jesteśmy tu bez winy? Czy w naszym ustosunkowaniu się do Rosji, do narodu rosyjskiego, do sprawy rosyjskiej nie powodujemy się irracjonalnymi uprzedzeniami, które są zarówno niepolityczne i nie na czasie, jak obiektywnie niesłuszne i niesprawiedliwe?

Oto charakterystyczna próbka.

W jednym z bardzo poczytnych czasopism polskich na emigracji od dłuższego czasu prowadzono kampanię drwin i podjudzań, zwróconych przeciwko „białej" emigracji rosyjskiej, o ćwierć wieku dłużej od nas jedzącej gorzki chleb wygnania. Emigracja rosyjska zareagowała na to listem przywódców monarchistów rosyjskich do redakcji tego pisma, zarówno spokojnym w tonie, jak sprawiedliwym. List ten mówił o potrzebie „dobrych stosunków między dwoma najważniejszymi narodami słowiańskimi" i o „wierze w możność współpracy i braterskich stosunków sąsiedzkich między narodami polskim i rosyjskim", oraz zawierał między innymi następujący, godny uwagi ustęp:

„Najbardziej autorytatywny przedstawiciel Rosjan antykomunistów, głowa domu carskiego, Wielki Książę Włodzimierz pisał w swej „odezwie do wolnego świata", ogłoszonej w lutym 1952 r.: „Podporządkowanie gwałtem narodów, mających swą wiekową historię, kulturę, tradycję i język, jest sprzeczne z narodowym interesem każdego państwa, ponieważ tego rodzaju gwałt stwarza stałych i zawziętych nieprzyjaciół... Niewiele narodów nie popełniało podobnych omyłek w ciągu swej historii. Taką właśnie omyłkę popełniła cesarska Rosja w stosunku do narodu polskiego. Należy jednak pamiętać, że podczas pierwszej wojny światowej Rosja obiecała dać Polsce niezależność po zakończeniu działań wojennych. Chciałbym widzieć w Polsce, tak samo jak i w innych sąsiadach, nie tylko sojusznika w walce ze wspólnym wrogiem, ale także i przyszłych przyjaciół Rosji."

Listu podobnej treści i reprezentującego tak poważne koła nie zbywa się lekko. Można na taki list odpowiedzieć zastrzeżeniami politycznymi, można na przykład stwierdzić, że warunkiem przyjaźni polsko-rosyjskiej jest nie tylko uznanie przez Rosję prawa Polski do pełnej niepodległości, ale także i uznanie jej prawa do posiadania Lwowa i Wilna. Ale nie można na takie wystąpienie odpowiedzieć wyzwiskami i drwinami. Otóż redakcja poczytnego pisma polskiego zareagowała właśnie w ten sposób.

Chciałbym na tym miejscu zaprotestować przeciwko temu, stwierdzając, że nie wszyscy Polacy mają podobną postawę i że ten ton i styl budzi w poważnym odłamie polskiej opinii publicznej oburzenie i niesmak. Chciałbym także, w paru słowach, omówić treść wystąpienia monarchistów rosyjskich.

Zacytowany manifest pretendenta do rosyjskiego tronu — pretendenta, który może nigdy na tronie nie zasiądzie, ale którego głos z pewnością dużo znaczy jako wyraz opinii rosyjskiego narodu czy tym bardziej rosyjskiej emigracji, zawiera otwarte i stanowcze uznanie, że dawna Rosja ma wobec Polski winy, że tych win żałuje i że nie zamierza ich powtarzać. Trzeba stwierdzić, że w stosunkach prywatnych oświadczenie tego rodzaju zwykle wystarcza jako podstawa darowania win; nie ma powodu, by w stosunkach między narodami miało być inaczej. Zwłaszcza, że i my także nie jesteśmy wobec Rosji bez win: Żółkiewski był na Kremlu wcześniej niż jakikolwiek żołnierz rosyjski w Warszawie lub w Krakowie, dynastia Romanowów wyrosła w walce o niepodległość Rosji od Polski (walce, opiewanej w tylu rosyjskich poematach i operach), a Kijów, uważany przez Rosjan za kolebkę ich historii, ich państwa, dynastii, narodowości, cerkwi i kultury, był pod polskim panowaniem przez całe pokolenia, zanim jeszcze noga moskiewska stąpnęła na którymkolwiek skrawku polskiej ziemi.

Rosyjski pretendent ma również rację, gdy mówi, że Rosja weszła na drogę wycofania się z polityki rozbiorów Polski jeszcze przed rewolucją. Już manifest Wielkiego Księcia Mikołaja Mikołajewicza z 14 sierpnia 1914 roku ujmował sprawę polską w jej całokształcie, mówiąc o zjednoczeniu wszystkich trzech zaborów w jeden organizm i o wyodrębnieniu politycznym Polski. Manifest ten, ogłoszony przez wodza naczelnego w czasie toczącej się wojny, będącego w dodatku stryjem cesarskim, był aktem państwowym wiążącym i wielkiej miary. Był to na razie tylko pierwszy krok. Ale taki pierwszy krok jest zawsze najtrudniejszy. Dalsze kroki przychodzą po nim bardzo szybko i w sposób nieuchronny; widzimy to choćby na przykładzie polityki brytyjskiej wobec Irlandii czy Indii. Nie ulega wątpliwości, że Rosja była **jedynym** państwem zaborczym, które wycofało się z polityki rozbiorów. Niemcy i Austria nie wycofały się z niej aż do końca. Ich akt z 5 listopada 1916 roku był łatwym prezentem z cudzej kieszeni: proklamował „samodzielność" Polski wyłącznie w granicach (i to okrojonych) zaboru rosyjskiego.

Rzecz prosta, wielkie przeciwieństwo dziejowe polsko-rosyjskie, którego osią jest sprawa naszych ziem wschodnich, istnieje nadal i nie zniknie tak długo, dopóki Rosja naszych praw do Lwowa i Wilna nie uzna. Ale to nie racja, byśmy mieli z emigracją rosyjską szukać zwady. I byśmy się nie mogli o nawrócenie Rosji modlić.

POLONUS

ZE ŚWIATA KATOLICKIEGO

Proces beatyfikacyjny arcybiskupa Cieplaka. Generalny postulator sprawy beatyfikacyjnej arcybiskupa Cieplaka, ks. prałat Walerian Meysztowicz spędził w tej sprawie kilka miesięcy w Stanach Zjednoczonych, odwiedził szereg biskupów amerykańskich, przeprowadził rozmowy z władzami kościelnymi w Waszyngtonie, Nowym Jorku, Buffalo, Detroit, Chicago i w Kanadzie.

Nowy błogosławiony pochodzenia polskiego. Wśród zeszłorocznych błogosławionych Jan Marcin Moyé pochodził z polskiej rodziny katolickiej. Jego dziadek przywędrował z Polski i osiedlił się w Lotaryngii w XVII wieku. Ojciec, Jan Krzysztof, w r. 1775 został mianowany urzędnikiem pocztowym przez Stanisława Leszczyńskiego, króla polskiego, ówczesnego księcia Lotaryngii, „w uznaniu wierności i gorliwości w służbie". Tak ojciec, jak i matka, córka burmistrza w Cuting, byli głęboko religijni, mieli 13 dzieci. Janek urodził się w r. 1730 w Cuting, niedaleko Metzu. Wychowany był w twardej szkole ofiary i ubóstwa, modlitwy i praktyk religijnych. Po śmierci ojca (1744) poszedł na uniwersytet, a w r. 1751 wstąpił do seminarium duchownego; w r. 1754 został księdzem. Dobry mówca, pięknej postawy, umiał działać na ludzi i apostołować. Przez 12 lat pracował w Metzu jako wikariusz. Założył zgromadzenie sióstr Opatrzności dla wychowywania i nauczania dzieci po parafiach.

Pełen gorliwości i zapału nie zadowolił się tą pracą, myślał o głoszeniu Ewangelii wśród pogan. Wstąpił więc do Seminarium Misji Zagranicznych w Paryżu i w r. 1771 wyjechał do Chin. Tam rozwinął ogromnie ożywioną działalność, naśladując św. Pawła. Przejechał prawie całe Chiny i wśród trudów i przykrości głosił wszędzie słowo Boże. Poświęcał się szczególnie dzieciom. Dla ułatwienia sobie pracy założył i tu zgromadzenie sióstr tubylczych Chinek „Instytut Dziewic Chińskich", poświęcający się pracy wychowawczej i kształceniu dzieci. Administrował ogromną prowincją misyjną, starał się o wychowywanie kleru tubylczego. Wyczerpany fizycznie po 11 latach wrócił do Francji. Tu znowu duszpasterzował, głosił kazania i zakończył swe życie apostolskie w r. 1793 w Trewirze w wieku 63 lat.

Czas odmawiania Różańca. Odmawianie Różańca w języku rotuman (dialekt polinezyjski) trwa 7 minut, nawet gdy odmawia się bez pośpiechu. W języku wysp Fidżi dobre pół godziny.

Filmy w czasie Kongresu Eucharystycznego. W grudniu roku ubiegłego odbył się V Narodowy Kongres Eucharystyczny w Limie, stolicy Peru. W czasie kongresu urządzono Międzynarodowe Dnie Kinematograficzne, prawdziwy festiwal filmu religijnego, po raz pierwszy w Ameryce. W jednym z najlepszych kin wyświetlono m. in. „Detektyw Ojciec Brown" (Wielka Brytania), „Dzwony Nagasaki" (Japonia), „Ksiądz, który zrzucił sutannę" (Francja), „Dziennik proboszcza wiejskiego" (Francja), „Słońce świeci zawsze" (St. Zjednocz.), „Proboszcz z San Lorenzo" (Argentyna).

Znaczki pocztowe o tematyce religijnej. W roku 1954 Rok Maryjny dostarczył tematu dziewięciu krajom do okolicznościowych 33 znaczków: Brazylia (2 z Matką Boską Brazylijską), Filipiny (1), Hiszpania (10 z obrazami Madonny ze sławnych sanktuariów), Irlandia (3 z Matką Boską i Dzieciątkiem Jezus), Liechtenstein (3 z Matką Boską i Dzieciątkiem Jezus), Monaco (3), Zagłębie Saary (3 z Matką Boską i Dzieciątkiem), Państwo Watykańskie (6), Włochy (2). Do tego należy dodać francuski znaczek z Lourdes, który jednak oficjalnie nie został wydany w związku z Rokiem Maryjnym, lecz w serii krajoznawczej. Ponadto w roku minionym 17 następujących krajów wydało 62 znaczki w związku z różnymi wydarzeniami lub rocznicami: Algier (1 na 1600 rocznicę urodzin św. Augustyna), Austria (1 z racji II Międzynarodowego Kongresu Muzyki Religijnej), Belgia (6 Béguignage de Bruges), Brazylia (1 dla wspomnienia śmierci o. Anchiety, 2 z powodu 50-letniej rocznicy przybycia ojców marystów do Sao-Paulo, 1 z racji wizyty kardynała Piazza), Ekwador (5 dla uczczenia 100-letniej rocznicy Franciszka Febres Cordero z braci szkół chrześcijańskich), Francja (1 z opactwem Jumièges, 1 z kościołem Saint-Corentin w Quimper, 1 z św. Ludwikiem, 1 z Bossuetem, 1 z Armoiries Saintonge), Hiszpania (2 z racji Roku Świętego w Compostelli), Holandia (1 na 1200-letnią rocznicę męczeńskiej śmierci św. Bonifacego), Irlandia (1 z kardynałem Newmanem), Kolumbia (8 na 300-letnią rocznicę fundacji kolegium Matki Boskiej Różańcowej w Bogocie, 2 na 300-letnią rocznicę śmierci św. Piotra Klawera), Monaco (3 ze sługą Bożym Fryderykiem Ozanamem i Konferencjami św. Wincentego à Paulo, 3 ze św. Janem de la Salle), Niemcy (1 na rocznicę 1200-letnią św. Bonifacego, 1 na 500-letnią rocznicę druku Biblii), Peru (1 z racji V Narodowego Kongresu Eucharystycznego), Portugalia (4 dla przypomnienia przyjazdu do Sao Paulo o. Manuela de Nobrega na czele grupy jezuitów), Stany Zjednoczone (1 ze statuą Wolności wraz z napisem religijnym), Państwo Watykańskie (2 z okazji 25-lecia Układów Laterańskich, 3 z powodu kanonizacji św. Piusa X, 2 na 300-letnią rocznicę bazyliki św. Franciszka z Asyżu, 1 na rocznicę św. Augustyna), Włochy (2 z okazji 25-lecia Układów Laterańskich, 2 z św. Michałem Archaniołem pokonującym smoka).

ZYGMUNT TURKIEWICZ

GIORGIO MORANDI

Rzadko zdarza się nam oglądać wystawy sztuki tak pouczające jak wystawa malarstwa i grafiki Giorgia Morandiego, która odbyła się w r. ub. w Londynie. Co najbardziej zastanawia na tej wystawie, to zjawisko (dziś bardzo rzadkie), że mamy do czynienia z pracami, które są nawskroś nowoczesne, bez silenia się na nowoczesność, bez programowych deformacji, bez abstrakcyjnych form, bez ekstrawaganckich kompozycji. Niespotykana skromność, pozbawiona wszelkiego efekciarstwa, jest właściwością tych prac. Ta skromność dotyczy zarówno tematyki Morandiego, jak też jego środków malarskich.

Po tym wszystkim, co widzimy na ogół na obecnych wystawach sztuki współczesnej, gdzie spotyka się najczęściej prace będące rezultatem jakichś spekulacji intelektualno-filozoficznych, natura widziana oczami Morandiego przekonywuje nas o wiele bardziej niż te wszystkie wykombinowane twory razem wzięte.

Nie można chyba powiedzieć, że prace Morandiego posiadają prymat koloru nad formą, mimo że działają przede wszystkim swoją kolorystyką. Forma w jego obrazach jest do tego stopnia zespolona z barwą, że te dwa elementy tworzą tutaj jakąś jedność, która w dużej mierze przyczynia się do tego, że obrazy tego malarza są „zrozumiałe" dla każdego.

Jedynym zastrzeżeniem graniczącym z uczuciem pewnego rozczarowania, kiedy oglądamy te małe rozmiarami martwe natury z butelkami, bukiety sztucznych kwiatów i wdzięczne włoskie pejzażyki, to niebywała oszczędność środków i bardzo prosta tematyka tego malarza.

Zetknięcie się z tymi elementami sztuki Morandiego mimo woli nasuwa spostrzeżenie, które wyrażamy słowami: „I to jest już wszystko?" „A więc to **tylko** to?" — Wnet jednak zostajemy nagrodzeni odkryciem, że właśnie ta asceza malarska jest największym skarbem Morandiego. Perłowo-srebrzyste szarości, subtelne różowości, szare zielenie i brązy, bardzo zgaszone czerwienie w różnych bogatych wariantach jego form prostokątnych czy stożkowatych lub w formie rombów i zdeformowanych sześcianów czy walców — to świat czystej poezji.

Jeśli jednak, mimo całej subtelnej przejrzystości malarstwa Morandiego, ktoś pozostanie nieczuły na nie, to po zapoznaniu się z jego grafiką, musi w niej zasmakować. Ta sama tematyka, jaką rozpoznaliśmy w malarstwie tego artysty, pokazana tutaj techniką kunsztownej akwaforty, opanowanej, przejrzystej, czytelnej, wytrzymanej w subtelnych różnicach małych przejść od jasnych do ciemnych tonów lub też silnie skontrastowanych plamami białych płaszczyzn, obok głębokiej czerni — ukazują nam świat Morandiego w zupełnie innym aspekcie, pomimo że od razu rozpoznajemy tego samego ducha.

Technikę rytowniczą posiada Morandi wyjątkowo piękną, rzec by można klasyczną, opanowaną i czytelną. Posługuje się on serią linii równolegle prowadzonych, a raczej seriami grup linii, które stopniowo krzyżuje, układając jedne nad drugimi bardzo przejrzyście.

Nie znajdziemy tutaj żadnej rutyny ani jakiejś mechanicznej wirtuozerii. Nie pozostawia też artysta niczego kaprysowi kwasu trawiennego i asfaltom, przypadkom tak często nadużywanym przez wielu grafików. Tym walorom technicznym ma Morandi do zawdzięczenia te uporządkowane srebrzyste szarości, księżycowe biele i owe pewne wyjątkowo piękne przejścia, które są możliwe do osiągnięcia w grafice przez zupełne opanowanie rzemiosła.

* * *

Z nazwiskiem Giorgia Morandiego zetknąłem się jesienią r. 1944. Na jednej z wystaw w Rzymie zwróciłem uwagę na parę martwych natur z butelkami, namalowanych w bardzo ściszonej gamie kolorów szarawo-srebrzystych.

Obrazy te wyraźnie odcinały się swoją odrębnością od reszty wystawy. Poza odmiennym kolorytem posiadały one cechy obrazów malowanych przez samouków — coś z poezji martwych natur Henri Rousseau'a. Mimo że natychmiast odczułem, iż mam do czynienia z malarstwem wychowanego artystycznie malarza, nie mogłem pozbyć się uczucia, które zawsze towarzyszy obrazom „malarzy niedzielnych". Mój towarzysz, z którym bawiłem na tej wystawie (od lat siedzący we Włoszech i obznajmiony znakomicie ze sztuką tego kraju) wzruszył ramionami na moje zainteresowanie pracami Morandiego i wybuchnął: „Nie wiem, co też ludzie widzą w tych butelkach, a przecież Morandiego uważa się w kołach artystycznych włoskich za nowego geniusza malarstwa".

W dwa lata później, przed samym wyjazdem z Włoch, miałem szczęście oglądać w Rzymie zbiorową wystawę prac Giorgia Morandiego. Ta skromność środków i tematu, o której już wspominałem, uderzyła mnie wówczas z siłą ogromną, tym bardziej, iż sam w tych czasach tkwiłem po uszy w malarstwie bardzo kolorowym, nadużywając barwy w nie mniejszym stopniu co i tematu. Wtenczas to malarstwo Morandiego dało mi dużo do myślenia.

W kraju intensywnego słońca i światła, wspaniałego krajobrazu, pięknych dziewcząt, śmiechu i radości, w kraju o tradycji malarskiej tak wspaniałej — zdecydowanie się na skromność musi mieć podłoże głębsze. Morandi, który nigdy nie wyjeżdżał poza granice swego kraju, jest profesorem grafiki w Akademii Sztuk Pięknych w Bolonii. Urodził się w r. 1890, a więc w czasach, kiedy sztuka Renoira, Seurata i Cézanne'a święciła triumfy. Jakkolwiek Morandi znał i cenił tę sztukę, zwłaszcza Cézanne był mu bardzo bliski, to w jego twórczości nie znajdziemy prawie żadnych wpływów tych mistrzów. Prawdopodobnie jego pierwsze zetknięcia się z mistrzami włoskimi XIV i XV wieku zadecydowały o jego postawie artystycznej na zawsze. Vitale Bloch, autor przedmowy do katalogu wystawy Morandiego pisze, iż Morandi dotąd opowiada z entuzjazmem o swoim pierwszym kontakcie z freskami Giotta, Paolo Uccella i Masaccia, które oglądał w kościołach florentyńskich i w Uffizi. Tego wieczora przyjaciele Morandiego znaleźli go w łóżku z bardzo wysoką temperaturą.

Malarstwo Morandiego jest szczerym odbiciem Morandiego jako człowieka. Z tejże przedmowy do katalogu dowiadujemy się, że życie codzienne Morandiego podobne jest życiu mnicha. Jego studio i jego dom wydają się przynależeć do zupełnie innej epoki, która jak gdyby zastygła w Bolonii przy via Fondazza.

Ten stan rzeczy tłumaczy wiele. Człowiekowi o usposobieniu kontemplacyjnym — stół, osiem różnych butelek, serwetka kolorowa, szara ściana pokoju, bukiet sztucznych kwiatów i widok z okna wystarczą jako temat dla jego sztuki na całe życie. Tym zapewne da się również wytłumaczyć fakt, że z najskromniejszych przedmiotów, jak z blaszanych puszek, staromodnych lampek oliwnych, zmurszałych butelek i pudełek geniusz Morandiego potrafi wydobyć ten czar poezji, który emanuje z jego płócien.

Co jest podziwu godne w tym malarstwie, to owa rozmaitość doznań, jakie odbieramy w zetknięciu z jego płótnami, pomimo iż często rozpoznajemy te same przedmioty w różnych obrazach, lecz ich kompozycja, kolor, nastrój są zupełnie inne.

Poetyczność zarówno jak i muzyczność, które owe płótna potrafią wywołać, są cudowne. Te martwe natury Morandiego mogą posiadać nastrój melancholijny albo romantyczny; są delikatne lub zabawne w zamyśle i wykonaniu.

Morandi nigdy nie zaryzykował zmiany swojej postawy estetycznej, nigdy nie pokusił się o zmianę sposobu malowania i, co za tym idzie, stylu. Wprawdzie we wczesnych jego pracach odnajdujemy pewne odchylenia w kierunku sztuki de Chirica czy Karla Carra, ale jest to raczej krótki okres. Morandi szybko się z tych wpływów otrząsnął. Nigdy też nie znajdziemy u niego łatwizny artystycznej ani dziwaczności -pseudo-intelektualnych, którym ulegało tylu współczesnych mu artystów.

* * *

Czego mi jednak brakowało na tej bez zarzutu wystawie Morandiego, to kilku prac, szkiców, czy rysunków nie przeznaczonych do pokazywania. Tych niedoskonałych a intymnych notatek artysty, które najlepiej mówią o jego pracy w stosunku do widzialnej rzeczywistości, o jego pilności, pokorze i uwadze. Chciałem zobaczyć ślad pracy Morandiego, który by był początkiem jego wizji, który by pokazał mi jego wahania, jego niepokoje i mękę, bez których praca twórcza nie istnieje.

Zygmunt Turkiewicz

W. A. CHEBDA

UCZESTNICTWO ZAKONU MALTAŃSKIEGO

W KONGRESIE MARYJNYM

Dnia 5 października 1954 rano wyruszył z bram miasta magistralnego Suwerennego Zakonu Maltańskiego w Rzymie barwny orszak udając się do kościoła św. Anzelma.

Pierwszy kroczył W. Chorąży w czerwonym, suto haftowanym mundurze niosąc sztandar z wyszytym nań białym, ośmiokątnym krzyżem. Asystowało mu dwóch gwardzistów papieskich. Za nimi w pewnej odległości postępował Wielki Boliw, przybrany w długą, czarną tunikę, należną zakonnikom.

W tym miejscu zastępował on, jak i gdzie indziej, jeszcze nie wybranego Wielkiego Mistrza. Za nim szli dostojnicy zakonu, boliwi i bracia profesi, a dalej kawalerowie laicy różnych stopni, w swych czerwono-czarnych mundurach, przepasanych złoconymi pasami i z rycerskimi mieczami przy boku. Wśród nich wyróżniali się: pułkownik Elwes, przedstawiciel związku brytyjskiego, hr. Emeryk Hutten-Czapski, przedstawiciel związku polskiego, margrabia Pallavicini, przedstawiciel związku węgierskiego, jak i też przedstawiciele związków francuskiego, hiszpańskiego, belgijskiego, meksykańskiego, kanadyjskiego, peruwiańskiego oraz wielu innych.

Przeszedłszy przez Piazza dei Cavalieri di Malta pochód wszedł do kościoła św. Anzelma, gdzie zebrani już byli przedstawiciele korpusu dyplomatycznego, akredytowanego przy Stolicy Apostolskiej, z dziekanem J. Eksc. K. Papée, ambasadorem R. P. na czele. Niebawem rozpoczęła się Msza św. celebrowana przez Mgr. Masin, kaw. zakonu Malt. Ministrowali kapitan Lord Dormer i komandor R. G. Grand-Ferris, obaj ze związku kawalerów brytyjskich. Chór oo. benedyktynów z bazyliki św. Pawła wykonał pieśni „Ave Maria" oraz „Salve Regina". Członkowie Zakonu Maltańskiego przystąpili gremialnie do Komunii św.

Po Mszy św. przemówił o. Walter, ze związku westfalskiego, zachęcając damy i kawalerów maltańskich do zwracania myśli młodzieży ku pracy charytatywnej i obronie Wiary św.

W późniejszym czasie zebrali się pielgrzymi maltańscy w parku willi Wielkiego Magisterium Zakonu, gdzie przemówił do nich W. Boliw dziękując im za tak liczne uczestnictwo w kongresie oraz danie dowodów przywiązania do Matki Bożej z Philerme, która od wielu wieków jest patronką Rycerzy św. Jana z Malty (czyli Maltańskich).

Następnego dnia członkowie zakonu udali się rano do katakumb „Domicjana", gdzie wzięli udział w uroczystości urządzonej w intencji „Kościoła Milczenia". Po Mszy św. pierwszy przemówił w języku francuskim Mgr. Arrighi podkreślając, że prawdziwi zwycięzcy znajdują się tu w katakumbach wśród męczenników, którzy jedni z pierwszych przelali krew dla zwiększenia chwały Bożej.

Następnie przemówił ks. Wincenty Tomek, kapelan konwentualny zakonu, dziękując w imieniu katolickich Węgier za tę uroczystość.

W imieniu katolickiej Polski zabrał głos J. E. Ksiądz Arcybiskup J. Gawlina zaznaczając, że trzysta lat wspólnej chwały wojennej łączyło Jego naród z Zakonem Maltańskim. Rozwijając ten temat mówca przedstawił obecne prześladowanie religijne oraz obecną sytuację Kościoła w Kraju. Wśród ogólnego wzruszenia Najprzewielebniejszy Kaznodzieja oświadczył, że współcześnie panujący reżym w Polsce dąży do eksterminacji zakonów, likwiduje prasę katolicką, paraliżuje szkolnictwo i wszelką działalność religijną. Jeżeli dotychczas tamtejsze kościoły są pełne — dodał mówca — to jest to jedynie zasługą wysokiego poziomu i postawy moralnej społeczeństwa, w którym zakorzenione jest mocno wiekowe przywiązanie do Stolicy świętej.

Przypomniawszy, że w tym roku Suwerenny Zakon Maltański obchodzi 800-letnią rocznicę bitwy pod Ascalona i Lepante, mówca podkreślił, że głównym jego obowiązkiem jest „obsequium pauperum". Na zakończenie Ks. Arcybiskup Gawlina odmówił „Ojcze nasz" w języku polskim.

Po tej uroczystości przedstawiciele zakonu udali się do domu Kawalerów Rodyjskich, Piazza del Grillo, siedziby związku italskiego, gdzie zostali przyjęci przez ich przewodniczącego księcia Ruffo.

7 października została odprawiona pontyfikalna Msza św. w bazylice Santa Maria Maggiore, po czym Mgr. Ferrero wygłosił kazanie w języku włoskim, przypominając, że pielgrzymka zakonu opuściła Awentyn, odwiedziła kościół św. Anzelma i katakumby, by zakończyć tę pobożną wędrówkę w S. Maria Maggiore, przy ołtarzu „Salus Populi Romani".

Powiedzmy tu Maryi — mówił kaznodzieja — że zakon pragnie zachować żarliwość i szczerość wiary, pragnąc jednocześnie umieścić istotę swej doskonałości w nienagannym związku z Sercem Chrystusa. Nie można kłamać Maryi, gdyż Ona czyta z serc naszych.

Najświętsza Panna wie niewątpliwie o tym, że Zakon Maltański zgromadził się tutaj, by powiedzieć Jej z całą pokorą, iż każdy z jego członków, choć czuje się grzesznym, wzywa pomocy Miłosierdzia Bożego. Okazało się podczas tych dni ostatnich, podczas których kapelani związków narodowych, a zwłaszcza związków polskiego i węgierskiego, nam specjalnie drogich z powodu prześladowań doświadczanych w ich krajach, ze specjalną gorliwością odprawiali Msze św. i wygłaszali kazania, że ten zjazd jest najlepszym przykładem międzynarodowej jedności, wyrażonej w Zakonie Maltańskim.

Po skończonym kazaniu Mgr. Ferrero pobłogosławił zebranych.

8 października spore grono złożone z dam i kawalerów Zakonu odbyło wycieczkę do „Sacro Spaco", gdzie zwiedzono sławny pomnik św. Benedykta z Norcia, który przybył tu ze swymi pierwszymi towarzyszami przed przeniesieniem się na Monte Cassino.

W dwa dni potem około 500 członków zakonu udało się do Castel Gandolfo, by złożyć hołd Ojcu św. Papież zwrócił się do nich dziękując serdecznie za wzięcie udziału w Kongresie Maryjnym oraz za przywiązanie, jakie Zakon Maltański zawsze okazywał Stolicy Apostolskiej. Wyraził On również nadzieję, że zakon odmłodziwszy się w ostatnich czasach z tym większą energią rozwijać będzie swą pracę charytatywną, stanowiącą jego główne zadanie.

Ostatni kongres Zakonu Maltańskiego w Rzymie był jednym z najbardziej udanych jego zjazdów poświęconych czci Matki Bożej. Takim przedostatnim zjazdem był kongres jubileuszowy, zorganizowany w roku 1934 przez świętej i nieodżałowanej pamięci ostatniego Wielkiego Mistrza księcia Fra Ludovico Chigi-Albani.

Ta dwudziestoletnia przerwa wykazała dowodnie, jak bardzo członkowie zakonu są gotowi, by stawić się każdej chwili na wezwanie swych władz.

W. A. Chebda

PROCES BEATYFIKACYJNY ARCBPA CIEPLAKA

Dzięki doskonałej organizacji, przebieg przygotowań do procesu beatyfikacyjnego Arcybiskupa Jana Cieplaka postępuje naprzód bardzo szybko. W dniu 6 grudnia ub. roku zeznawał w trybunale rzymskiego wikariatu o. Aleksander Bołtuć, marianin, który osobiście znał Arcybiskupa Cieplaka z czasów petersburskich. Przesłuchanie świadków tak w Europie jak i w Ameryce dobiega końca.

Ks. dr Edmund Uliński, wicepostulator sprawy Arcybiskupa Jana Cieplaka i notariusz św. Roty, kończy przygotowanie procesu de scriptis (o pismach Sługi Bożego). Ze względu na zaginięcie większej części pism Arcybiskupa Cieplaka, między innymi jego korespondencji ze zmarłym męczeńską śmiercią Arcybiskupem Nowowiejskim, ilość dokumentów jest stosunkowo niewielka, co daje nadzieję szybkiego zakończenia również tej części procesu.

(IC)

POLONIA MODLI SIĘ O BEATYFIKACJĘ

W związku z pobytem ks. prał. Waleriana Meysztowicza, postulatora sprawy beatyfikacyjnej Arcybiskupa Jana Cieplaka, w Buffalo odbyła się podniosła uroczystość kościelna w intencji przyspieszenia procesu beatyfikacyjnego. Nabożeństwo odbyło się w kościele św. Wojciecha. Pontyfikalną Mszę św. celebrował ks. infułat Józef Glapiński, wikariusz diecezji buffalowskiej i proboszcz parafii św. Wojciecha w centrum Polonii. Kościół wypełniony był po brzegi. Przybyło wielu księży, zakonnic i organizacje polonijne. W prezbiterium zajmowali miejsce między innymi prałaci: Adamski, Sierakowski, Biniszkiewicz, o. prowincjał Anaklet Kaczmarek, o. Justyn Figas, kierownik „Godziny Różańcowej" oraz inni wybitni kapłani.

Na tronie zasiadł Biskup Józef Burke, ordynariusz diecezji, który po skończonym nabożeństwie wygłosił podniosłe przemówienie o osobie Sługi Bożego Arcybiskupa Cieplaka, o znaczeniu jego stanowiska w walce z bezbożnym materializmem sowieckim, o znaczeniu Polski i narodu polskiego w walce chrześcijaństwa z Antychrystem oraz o obowiązkach Polaków w wolnym świecie kontynuowania tej walki. Na zakończenie Biskup udzielił obecnym błogosławieństwa pasterskiego.

Kazanie w czasie Mszy św. wygłosił postulator ks. prałat W. Meysztowicz, który nawiązał do ostatniego orędzia biskupów amerykańskich o walce z ateistycznym materializmem.

(IC)

In partibus infidelium catholicorum

Ugrupowania „katolików postępowych" w Polsce usiłują obejmować coraz więcej dziedzin życia katolickiego i poddawać je swojej kontroli. Jak wiadomo, grupki te tworzą wspólną organizację, założoną w roku 1953 natychmiast po aresztowaniu Prymasa Polski. Organizacja ta nosi nazwę „Krajowej Komisji Duchownych i Świeckich Działaczy Katolickich Frontu Narodowego". W ostatnich czasach tę osobliwą organizację pseudokatolicką postanowiono jeszcze bardziej scentralizować i poddać ostrzejszej dyscyplinie organizacyjnej.

Tą „komisją krajową", posiadającą oddziały w miastach wojewódzkich, kieruje specjalne prezydium, złożone z aktywistów w sutannach. Ostatnio postanowiono, iż w centralistycznym prezydium powstanie sześć sekcji, coś w rodzaju sześciu departamentów, które mają kontrolować główne dziedziny życia religijnego w Polsce, a mianowicie:

Sekcja I: „publicystyki katolickiej", której zadaniem jest kontrolowanie prasy pseudokatolickiej w Polsce oraz dostarczanie jej gotowych, centralistycznie rozsyłanych artykułów. To totalitarne zadanie prasowe przyznawane jest zupełnie otwarcie: „Publicystyka katolicka — mówi jeden z „katolików reżymowych" — stoi przed poważnymi zadaniami upowszechnienia tych sformułowań teoretycznych, które służą perspektywie światopoglądu katolickiego w świecie socjalistycznym (czyli komunistycznym) i udziałowi katolików w walce całego narodu o zasady racji stanu, o postęp społeczny i dobrobyt".

Sekcja II: „książki i sztuki katolickiej".

Sekcja III: „zagadnień związanych z nauczaniem religii". Komentując zadania tej sekcji, prasa „katolików reżymowych" dodaje: „W zakresie tego zagadnienia sekcja ma za zadanie wypracować przedłożenia dla właściwych władz kościelnych i państwowych".

Sekcja IV: „seminariów duchownych".

Sekcja V: „najwyższych zakładów naukowych katolickich w Polsce Ludowej", jakie stanowią KUL i niedawno utworzona w Warszawie Akademia Teologii Katolickiej.

Sekcja VI: „zagadnień współczesnego duszpasterstwa katolickiego w Polsce Ludowej". Komentator pseudokatolicki tak określa zadania tej sekcji: „Powstaje tu cały splot skomplikowanych problemów związanych z rozwojem współczesnego duszpasterstwa, jego skutecznością, jego funkcją społeczną itd. Przypadkowo wymienię sprawę życia parafii w warunkach państwa socjalistycznego oraz treść kazań, która musi być w jakiś sposób związana z rozwojem życia i problematyki współczesnej".

Już samo zestawienie problemów, jakimi mają się owe sekcje zajmować, świadczy o tym, iż pseudokatolicy usiłują objąć najistotniejsze działy pracy religijnej, zastrzeżone wyłącznie dla jurysdykcji samego Kościoła. Równocześnie zaś z zestawienia powyższego widać, na które odcinki życia katolickiego reżym zwraca w tej chwili największą uwagę i którym poświęca najwięcej zainteresowania. (IC)

Religia jest zawsze wrogiem komunizmu. Rudolf Foeldvari, jeden z głównych teoretyków węgierskiej partii komunistycznej, oświadczył, że nowa orientacja większej tolerancji religijnej w państwach sowieckich nie oznacza, że może nastąpić pojednanie między idealizmem religijnym a teorią komunistyczną. Religia była zawsze i będzie zawsze głównym wrogiem ideologicznym komunizmu, a jeżeli jacy członkowie partii po czasie próby cierpliwości w stosunku do tych, którzy nie wyrzekli się jeszcze „przesądów religijnych", pozostaną przy religii, należy ich wyrzucić z partii i uważać za wrogów.

Przemówienia Papieża Piusa XII do intelektualistów. Jak wiadomo, Poliglotta Vaticana wydaje corocznie tom przemówień i niektórych pism Papieża za ubiegły rok pontyfikatu. Oprócz tego dla użytku tych, którzy tego pełnego wydawnictwa nie posiadają, jako też dla ułatwienia korzystania z nauki Papieża, ukazały się dotychczas niektóre wydawnictwa zestawiające w jednym tomie wszystkie przemówienia Papieża z danej dziedziny: tak np. wyszły razem wszystkie przemówienia Papieża do nowożeńców, dające całokształt tego wszystkiego, co nowożeńcy powinni wiedzieć; ukazało się też wydawnictwo ze wszystkimi przemówieniami Papieża w sprawie pokoju i wojny. Obecnie, z inicjatywy Ruchu Osób o Wykształceniu Akademickim w ramach Włoskiej Akcji Katolickiej, firma wydawnicza „Studium" wydała duży tom, o 542 stronach: „Pio XII — Discorsi agli intellettuali". W wydawnictwie tym zebrane są systematycznie, w ośmiu częściach, przemówienia Piusa XII w latach 1939 do pierwszych miesięcy 1954 w zakresie problemów interesujących świat kultury, wiedzy i wychowania. Tytuły poszczególnych części są następujące: I. Przygotowanie i misja intelektualistów katolickich w świecie nowoczesnym; II. Wszechświat i jego prawa; III. Godność i odpowiedzialność badań naukowych; IV. Najszlachetniejsza i najwyższa nauka ludzka; V. Aspekty moralne wiedzy i zawodu prawnego; VI. Wiedza lekarska i jej specjalizacje celem ulżenia cierpieniu ludzkiemu; VII. Problemy religijne i ludzkie studium i nauczania; VIII. Inne działalności i specjalizacje zawodowe w świetle doktryny Chrystusowej.

WIT TARNAWSKI

KAIN

Im dłużej żyję i poznaję ludzi, tym więcej interesują mnie wariaci. W nich doprowadzone jest do ostatecznych i absurdalnych granic to, co mieści się w każdym człowieku. W schizofrenii oglądamy tylko krańce wiecznego nieustalenia i rozbicia ludzkiej duszy, w manii prześladowczej przerost powszednich lęków życia, w urojeniach wielkości — po prostu potworek ambicji. Szaleństwo pozwala nam niejako zajrzeć poza ciasny widnokrąg, za linię bezpieczeństwa naszego umysłu, a przede wszystkim uczy skromności, skromności. Z całą naszą pewnego dnia, prosząc, bym go odwiechej podstawie, obłęd okrąża nas w koło tak zachłanną falą, że dziw, iż do końca życia każdy z nas potrafi się utrzymać na swojej krze, która co chwila trzaska pod stopami.

Oto dlaczego od czasu do czasu odwiedzam zakłady dla umysłowo chorych. Odwiedzam nie za często. Nie jest bezpiecznie spoglądać zbyt długo poza tę krawędź tak wąską, gdzie przepaść czyha tak blisko.

Mam przyjaciela lekarza, który dostał niedawno posadę w jednym ze szpitali dla umysłowo chorych w okolicy Londynu. Zadzwonił on do mnie pewnego dnia, prosząc, bym go odwiedził, a przy tym obejrzał sobie nowy warsztat jego pracy. Oczywiście przyjąłem zaproszenie z chęcią i pojechałem w pierwsze wolne popołudnie.

Szpital z zewnątrz robił wrażenie spokoju i pogody. Stare, nabite liściem drzewa zakrywały niemal zupełnie zarys budynków szpitalnych, które, niestety, nie były siedzibą ani spokoju ani pogody. Odźwierny wiedział już o moim przybyciu i wpuścił mnie poza kraty potężnej bramy bez przeszkód. Wskazał mi drogę i za chwilę ściskałem dłoń przyjaciela.

Oczywiście najpierw nasyciliśmy wzajemną ciekawość przeszłości, bo nie widzieliśmy się od wyjazdu Drugiego Korpusu z Włoch. Potem zaczęliśmy rozmawiać o obecnej pracy mego przyjaciela. W końcu doktór Rzepecki, który znał moje psychiatryczne zainteresowania, zaproponował mi obchód szpitala. Ale, czy byłem zmęczony długim dojazdem czy też po prostu przypadki mnie nie zaciekawiły, dość, że przeszedłem przez sale pełne zgiełku, to złowrogiego milczenia bez wybitnych wrażeń. Właśnie miałem zamiar poprosić o zakończenie obchodu, gdy Rzepecki zatrzymał się przed drzwiami jednej z separatek i powiedział:

— A teraz pokażę ci mój najciekawszy przypadek, tym bardziej, że pacjent jest Polakiem.

Weszliśmy do pokoju, jak na separatkę niezwykle obszernego, można by niemal powiedzieć, sali; mieszkaniec jej musiał widać cieszyć się szczególnymi względami. To, co ujrzałem, oszołomiło mnie zupełnie. Był to naprawdę ciekawy przypadek. Ściany wielkiego pokoju były zamalowane po szczyt. Tylko czwarta świeciła plamami białości, które twórca tych wszystkich malowideł pokrywał teraz z gorączkowym pośpiechem. Czułem się zafascynowany, bo patrzałem na dzieło prawdziwego talentu malarskiego, który wszędzie umiał wyrazić, co chciał, a tylko to, co wyrażał, było niesamowite, obłędne.

Przy jednej niezamalowanej do reszty ścianie stał z pędzlem w ręku człowiek średniego wzrostu, z rozwichrzoną czupryną artysty. Kiedy odwrócił się profilem, ujrzałem twarz, której nie zapomnę nigdy: twarz nieruchomą jak maska i uśmiechniętą na zawsze jakimś krzywym, słodkim a zarazem żałosnym uśmiechem; zaś w tej martwej twarzy oczy wielkie, latające, oszalałe niepokojem i trwogą, zdecydowane oczy szaleńca. I jeszcze coś innego przerywało martwotę tej twarzy: gwiaździsta blizna przebijająca policzek.

Malowidła, jak powiedziałem, były niesamowite. Powtarzała się w nich wszędzie twarz samego malarza. Na jednej ze ścian uderzał obraz najbardziej jednolity w koncepcji: wielka postać uśmiechniętego dobrotliwie Buddy czy jakiegoś ojca rzek lub wiatrów; zaś spod stóp tej postaci, z rąk i włosów płynęły i rozwiewały się we wszystkie strony pasma krętych, wzburzonych linii, niby wyobrażenie pasatów na mapie wiatrów w jakimś geograficznym atlasie — pasma, które kończyły się zawsze dzikimi scenami pożarów, trzęsień ziemi, bitew, chmurami samolotów, czołgów i wybuchających bomb. Szalony malarz umiał jakoś powiązać i dać do zrozumienia, że wszystkie te potworne owoce, szały żywiołu i szały wojny mają swe źródło w centralnej, głównej postaci, właśnie autoportrecie malarza.

Drugi obraz był jeszcze dziwniejszy. Cała ściana bez ładu już i związku zapełniona była obrazami zbrodni i gwałtów: duszenia niedołężnych starców, gwałcenia wydzierających się rozpaczliwie kobiet, rozbijania główek dziecięcych, obrazami narysowanymi z mrożącym krew prawdopodobieństwem — i znowu morderca i gwałciciel był wszędzie jeden, zewsząd spoglądały przerażone oczy samego twórcy obrazu. Tylko że w miejsce tępego uśmiechu Buddy, z twarzy tej biła groza i najgłębsze współczucie, jak gdyby lęk przerażenia: „Cóżem uczynił?"

Najwyraźniejsze jednak znamiona obłędu nosiła trzecia ściana. Rozszalałe lokomotywy i samochody uderzały na uciekających w przerażeniu ludzi, miażdżyły ich spadające skały, zagryzały wszelkiego rodzaju drapieżce. Był to jakiś powszechny bunt przyrody przeciw człowiekowi. I jeszcze raz artysta umiał w niepojęty sposób nadać zwierzętom, skałom czy maszynom coś z własnego, ludzkiego wyrazu, jakieś nieuchwytne znamię rozpoznawcze.

To, co malował w tej chwili wielkimi pociągnięciami pędzla, należało również do tego Grand Guignolu. Można było przypuścić, że malarz przedstawić chce scenę mordu Kaina, bo widać było już zarysy dwu ołtarzy kamiennych z unoszącymi się w górę, to pokładającymi się słupami dymu, a na przodzie obrazu dwu obejmujących się ludzi, z których jeden — znowu portret malarza — wbijał ze słodkim i przewrotnym uśmiechem drugiemu sztylet w plecy.

Przyznaję, że zrobiło mi się zimno. Jakaś metafizyczna groza biła z tej obłędnej opowieści o dwoistej naturze człowieka, z tego wstrząsającego pokazu zła sprzęgniętego nieodłącznie z dobrem. Niesamowite wrażenie pogłębiał kontrast łagodnie uśmiechniętej i poruszającej się ostrożnymi, cichymi krokami postaci malarza — z potworną treścią, jaka w nim się lęgła i którą wyrzucał na ściany.

Malarz nie przerwał swego malowania, jak gdyby o nas nie wiedział. Gdy doktor zawołał na niego: „Panie Skalski!", zdawał się nie słyszeć, nawet nie drgnął. Wyraźnie nas ignorował.

Zaczęliśmy rozmawiać o obrazach na ścianie, a potem o nowych prądach w sztuce. Mój przyjaciel był ich zwolennikiem, ja nie. Jak zwykle w dyskusji na taki temat, podniosły się nasze głosy, zaczęły padać cięte argumenty.

Zagniewany apodyktycznym tonem przyjaciela, powiedziałem szorstko: „A idźże do diabła, może i ja mam oczy" i odwróciłem się, ażeby wyjść z pokoju. Wtedy stało się coś całkiem nieoczekiwanego. Ów człowiek przy ścianie porwał się naraz ku mnie jednym skokiem i zaczął młócić pięściami w moje piersi.

— Przestań, na miłość Boską! Zabijesz doktora! Zabijesz mego doktora!

Odskoczyłem przerażony. Lecz w nim opadła już pasja. Zakrył twarz rękoma i zapłakał.

— Już przepadło. Wszystko zabija — złe słowo, zła myśl, wszystko. Pan nic nie wie, tak jak ja nie wiedziałem. A potem jest za późno.

Najbardziej przerażające w tym wszystkim były nie jego słowa, lecz twarz: kontrast tej obecnej twarzy z maską, na jaką patrzyłem jeszcze przed chwilą. To tak, jakby mocna ziemia nagle zaczęła rozpadać się pod stopami. Ta twarz straszliwie pokrzywiona, przeorana lękiem i błaganiem, a jeszcze sztywna od poprzedniej martwoty, wyglądała istotnie jak potrzaskana, rozlatująca się skorupa.

Doktor rzucił kilka uspakających słów i obydwaj zapragnęliśmy wyjść. Kiedy opuściliśmy salę, Rzepecki zaczął mi opowiadać o tym człowieku. Niedoszły samobójca, przestrzelił sobie głowę i został odratowany. Zamach zdarzył się we Francji, w Paryżu, gdzie biedak przebywał na studiach malarskich. Po dokonanej trepanacji poszedł do zamkniętego zakładu, bo z miejsca stało się jasne, że samobójstwo było spowodowane rozwijającą się od dawna psychozą. W pokoju samobójcy znaleziono zresztą rodzaj pamiętnika, który wszystko wyjaśniał.

Jakiś litościwy przyjaciel wywiózł go w czasie ewakuacji 1940 roku z Francji do Anglii, aby uratować przed zagazowaniem przez Niemców. Kiedy przeniesiono go później do tutejszego zakładu, chory nie wracał już do samobójczych myśli; kula wybiła mu to widać z głowy. Natomiast domagał się farb i pędzla.

W ciągu kilku tygodni potrafił pokryć całą ścianę malowidłami, nie chciał bowiem malować na płótnie czy papierze, tylko na ścianach. Gdy zaludnił już wszystkie ściany pokoju, trzeba było je bielić, a on zaczynał na nowo. Inaczej nie starczyłoby ścian w całym szpitalu. Tematyka pozostawała wciąż podobna: autoportrety malarza jako źródła i sprawcy wszelkiego zła na świecie.

— Jeżeli cię ten wypadek interesuje, pokażę ci pamiętnik, o którym wspominałem. Mam go w archiwach. To bardzo ciekawy dokument — powiedział na zakończenie doktor Rzepecki. Oczywiście skorzystałem skwapliwie z propozycji. Za chwilę siedziałem w lekarskim gabinecie z dużym, szarym zeszytem w ręku, zapisanym pismem rozchwianym, bardzo trudno czytelnym, bez kropek, przecinków, niemal bez podziału na zdania. Był to jakby monolog w piśmie, wypowiadany jednych tchem — typowy monolog maniaka.

Chory poprzedził swoją opowieść krótkim wstępem, w którym zapowiada, że postanowił spisać smutne dzieje swego życia dla „oczyszczenia się z win" i „ku nauce ludzi". Pamiętnik składał się z dwu części zupełnie odmiennych: zrazu, do pewnego przełomowego zdarzenia, chory opowiada fakty swojego życia rzeczowo, jasno i prawie bez osobistych wtrącań — jak kronikarz; potem, po owej historii z psem, zmienia się nie tylko treść, ale i sposób pisania. Tok zdań staje się zawiły i egzaltowany, pismo pośpieszne i coraz trudniej czytelne, sens rwie się, to ulega najdziwaczniejszym skojarzeniom. Im bliżej końca, tym wyraźniej wkracza na karty obłęd.

Niektóre z ustępów pamiętnika przepisałem dla siebie i chcę tu przytoczyć. Resztę podaję w streszczeniu.

Skalski odznaczał się od dziecka przeczulonym sumieniem. Pamiętał swoje dziecinne łzy nad jakimś nieopatrznie zdeptanym chrabąszczem i rozpacz z powodu kawałka mięsa spożytego w pewien piątek. Był zawsze zdecydowany nie zabijać ludzi w czasie wojny i gotów nawet na dezercję, jeśliby go wcielono do bojowego oddziału. Szczęściem wojny ominęły jego wiek męski.

Skalski posiadał brata młodszego od siebie o kilka lat. Ponoć kochali się bardzo. Ale ścierali się też nie na żarty. Byli tak odmienni, jak to tylko w rodzinie się zdarza. Skalski był nieśmiały, w życiu nieporadny, marzyciel i nieuleczalny Hamlet. Młodszy Stach dawał sobie z życiem radę, jak dżokej z końmi. Miał dar jednania ludzi — za nic. Zdawkowym uśmiechem, żartobliwym słowem płacił za dary, za które Skalski gotów był dać każdą cenę — bezskutecznie.

Jak wspominiałem, bracia mimo różnicy upodobań, byli związani serdecznymi węzły. Ciężka próba braterskiego uczucia przyszła jednak, gdy obydwaj zakochali się w tej samej dziewczynie. Oczywiście dostał ją młodszy Stach. Najgorsze, że Skalski poznał ją wcześniej, w czasie jakiejś dłuższej nieobecności brata w domu i dziewczyna w początkach zdawała się ku niemu skłaniać. Gdy więc po powrocie Stacha panna Ela przerzuciła od razu swe względy na szczęśliwca, Skalski mógł mieć wrażenie, że zabrano mu jego prawowitą własność.

Nastały ciężkie czasy. Skalski doświadczony już w rezygnacji, nigdy dotąd nie zazdrościł jawnie bratu jego przewag. Ale utrata kobiety, jedynie, jak mu się zdawało, ważnej w jego życiu, zmiotła wszelkie zapory ugodowości i wewnętrznego panowania nad sobą. Było go stać wyłącznie na to, aby nie okazać na zewnątrz, co się w nim działo. Dlatego, gdy wracał teraz pamięcią do tamtych spraw, nie mógł nawet ocenić, czy Stach domyślał się jego gorącej miłości do Eli. Może po prostu nie dostrzegł, co kryło się poza stężałą maską braterskiej twarzy, może, gdyby naprawdę wiedział, oddałby dziewczynę bez wahania — dla niego tylko jedną z wielu.

Ale Skalski był za dumny, by zdradzić się ze swymi uczuciami, a tym bardziej, by przyjąć, co nie zostało dane z dobrej woli ukochanej kobiety. Pozostawało cierpieć i niestety nienawidzić. Bo Skalski bodaj po raz pierwszy w życiu doznał porywów prawdziwej nienawiści do swego szczęśliwego rywala, który, co gorsza, był równocześnie najbliższym mu człowiekiem. Skalski gardził sobą, modlił się o łaskę odmiany wewnętrznej, doznawał nawet gwałtownych pokajań i nawrotów braterskiej miłości, ale nie potrafił opanować kipienia niechęci, która pewnego dnia, jak niestety dobrze zapamiętał, wyraziła się nawet pragnieniem, by Stach umarł i zeszedł mu z drogi.

Skalski miał psa: ogromnego, szarego wilka o czarnym podniebieniu. Pies włóczył się za nim stale jak cień, wierny i czujny. Nie był to łatwy przyjaciel człowieka i choć nikomu nie czynił krzywdy, ludzie raczej się go bali. Skalski zaobserwował parę razy, że pies zwłaszcza podczas sporów, które wybuchały teraz często z byle jakiego powodu, patrzy na Stacha niedobrym wzrokiem.

Potem przyszła ta noc. Pokój Stacha znajdował się na piętrze tuż nad pokojem Skalskiego. W czasie popołudniowego wspólnego spaceru Skalskiemu wydało się, że Stach umawia się z Elą na wieczór w swoim pokoju. Nie słyszał prawie słów, ale był tego zupełnie pewny jakimś niezawodnym wyczuciem, że tym razem miało się stać najgorsze. Piekielna duma kazała Skalskiemu nie tylko nie przeszkadzać, ale usunąć się zupełnie z drogi. Skoro Ela wybrała Stacha, niech się raz to wszystko skończy.

W myśl postanowienia, które wykonać, Bóg jeden wie, jak mu było trudno, Skalski powrócił do domu późno, by jego obecność nie wadziła zakochanym. Ale gdy wrócił, obsiadła go naraz udręka niepewności cięższej niż każdą pewność. Skalski spędził straszną noc, miotany pomiędzy nadzieją, że Eli nie ma tam na górze i nienawistną rozpaczą, że przyszła. Kiedy nad ranem usłyszał skrzyp schodów pod ostrożnymi krokami schodzących, Skalski był już tak zmęczony tą nocą, że nie potrafił osądzić, czy to nie było po prostu senne złudzenie.

Ale gdy rano przy śniadaniu zobaczył pewny siebie uśmiech Stacha i szczęśliwe oczy Eli, poznał prawdę wyraźnie. W owej chwili potrafiłby był zabić brata.

Nieszczęście zdarzyło się w pół godziny później. Skalski nie odgadł nigdy, co było bezpośrednią przyczyną. Może Stach nastąpił na Reksa albo go uderzył. A może w ogóle nie było przyczyny. Krzyk brata ściągnął Skalskiego z drugiego pokoju. Kiedy wpadł, Stach leżał już na podłodze, a Reks warczał mu na piersiach. Skalski zaczął prać nieprzytomnie czym miał pod ręką, minęła jednak dobra chwila, nim zdołał odpędzić rozwścieczone zwierzę. Stach pozostał na ziemi z twarzą śmiertelnie bladą, krwawiąc obficie z poszarpanego gardła. Zmarł w dwa dni później, zresztą może nie tyle od samej rany, co od wstrząsu. Ale czyż miało to jakieś znaczenie?

Przyczyna tragedii była jasna. Pies zawsze wyczuwa nastroje pana, podziela jego sympatie i niechęci. Co więcej, niechęć, jaka nagromadziła się w Skalskim do brata-rywala, musiała mimo wysiłku panowania nad sobą, wyrażać się w owym czasie w spojrzeniach, gestach, w ostrym tonie słów, nie mówiąc już o wybuchających z byle powodu sporach. Pies był jakby stale judzony tą narastającą pomiędzy braćmi nienawiścią. Młodszy Skalski stał się dla niego oczywistym wrogiem pana i pies wyciągnął z tego konsekwencje. Wystarczył pierwszy z brzegu powód.

Skalski nie wspomina jednak w swym rękopisie o tym prostym i oczywistym dla każdego wyjaśnieniu sprawy. Nie wiem nawet, czy o nim pomyślał. Pod wpływem przebytego wstrząsu przekroczył on na zawsze Rubikon, który w normalnym życiu dzieli czyny ludzkie od niewcielonych zamiarów, świat lotnych i nieodpowiedzialnych myśli od świata realnych kształtów.

Czytając spowiedź Skalskiego uświadomiłem sobie z całą wyrazistością, jakie to szczęście dla naszego wewnętrznego spokoju, że pojęcie winy ograniczamy tylko do czynów. Normalny człowiek spokojnie umywa ręce z wszystkich niedobrowolnych pragnień, pokus nie wcielonych w życie, nie przychwyconych niejako na gorącym uczynku. Skalski nie umiał umyć rąk.

W relacji jego, dotychczas na ogół trzeźwej, prowadzonej nawet z dużą wnikliwością psychologiczną i poczuciem rzeczywistości, pojawia się pierwsza jaskółka obłędu: przekonanie, że brat zginął z jego ręki. Pisze: „Bóg mnie oświecił. Odtąd wiedziałem, że uczucia mają moc zabijania. To ja zabiłem Stacha". Później nie ma już ani razu wzmianki o historii z psem, jak gdyby realny przebieg sprawy wyłonił się był na chwilę z chorej pamięci, by natychmiast stracić na nowo jakiekolwiek znaczenie.

Następny fakt wkracza już całkiem w dziedzinę obłędu i pokazuje, że równowaga Skalskiego została na zawsze zachwiana. W tym czasie nastąpił wybuch wulkanu na jednej z wysp Pacyfiku. Wybuch pochłonął znaczne ofiary w ludziach. Skalski twierdzi, że w przeddzień wybuchu czytał jakiś artykuł o wulkanach i zapragnął, by kiedyś w życiu zobaczyć takie widowisko, fascynujące wyobraźnię malarza. Niedługo czekał.

Odtąd żył w trwodze, że jest źródłem wszystkich nieszczęść na ziemi. Jedynym jego zajęciem stało się czytanie gazet i wyszukiwanie wiadomości o nieszczęśliwych wypadkach, zbrodniach czy kataklizmach przyrody, by upewnić się, czy aby nie jest ich winien, czy nie zalęgły się one wprzód w jego myśli, zanim zrealizowały się w życiu.

Walizy jego, jak mi później opowiadał doktor Rzepecki, pełne były wycinków z gazet pokreślonych wykrzyknikami, pytajnikami i znowuż portretami artysty na marginesach, jak gdyby podpisami pod przyznaniem się do winy.

W tym wszystkim nie byłoby nic ciekawego. Wiadoma to rzecz, że psychotycy mają skłonność do przypisywania niezwykłej wagi własnej osobie i własnym uczuciom, jakby każdy ich gest i każda myśl wywierały bezpośredni i potężny wpływ na bieg spraw tego świata. Co było jednak wyjątkowe, to że Skalski wyciągnął ze swego obłędnego widzenia świata konsekwencje moralne.

I odtąd zaczyna się część pamiętnika znowu bardzo ludzka i zrozumiała, gdzie szaleństwo Skalskiego nosi niemal cechy zmagania o świętość. Zawsze zdawało mi się, że nawet w obłędzie rzeczą decydującą o jego przebiegu bywa charakter. Skalski miał charakter. Przyjąwszy raz, że uczucia są równie dalekosiężne jak czyny, Skalski nie cofnął się przed ostatecznymi konsekwencjami. Postanowił oczyścić świat swoich uczuć do korzeni. Opowiada z wielką prostotą i nawet swoistą trzeźwością — tylko jakby z innego wymiaru — dzieje tej najtrudniejszej walki, w której każda myśl, każdy najtajniejszy odruch uczuć był złem, był wrogiem, którego trzeba wytropić i zniszczyć.

Zdawałoby się, że zadanie, jakie Skalski sobie narzucił, przekraczało granice sił ludzkich. Zawziął się nie tylko na wszelkie zło w uczuciach i porywach wnętrza, ale nawet na każdy ich odruch zewnętrzny, gest zniecierpliwienia czy grymas niechęci. W jego krańcowym poglądzie na odpowiedzialność moralną, nie tylko sam świat uczuć, ale wszystko, co rodzi się z człowieka, może brać udział w jego wielkiej winie. Nawet całkiem nieuświadomione skrzywienie twarzy posiada groźną wagę, moc niszczenia i zabijania.

I oto ten tragiczny zdobywca doskonałości spędzał całe godziny przed lustrem, śledząc swoją twarz, czy nie pojawia się na niej jakiś zwiastun klęsk świata i niewoląc wyraz tej twarzy maską dobrotliwego spokoju. Czytając zrozumiałem wreszcie, jakiego nieludzkiego wysiłku wynikiem była ta nieruchoma na zawsze twarz, która uderzyła mnie u Skalskiego i jaką udręką musiała być dla niego wieczna obawa, by nie dać się porwać jakiemuś, tak ludzkiemu przecież, tak zrozumiałemu odruchowi niecierpliwości. Dlatego to zapewne nie patrzył w twarz ludziom.

Skalski rozwija w tej części pamiętnika swój własny, szaleńczy pogląd na świat, ukazuje nam niesamowitą wizję bytu jako nierozerwalnego łańcucha przerażających wprost związków i konsekwencji. Związków nie tylko ludzi pomiędzy sobą, ale pomiędzy człowiekiem a całą przyrodą, między marną jednostką ludzką a niezmierzonym kosmosem. Gwiazdy gasną i giną z powodu wybuchu gniewu jednego człowieka, ziemia trzęsie się dlatego, że ktoś nie umie opanować odruchu zawiści.

Skalski pisze, że Bóg dotknął go strasznym nieszczęściem bratobójstwa, ażeby otworzyć mu oczy na istotę świata, na ukryte związki rządzące życiem. Dotknął go tak ciężko, ażeby uchronić przed dalszym złoczynieniem i ażeby przez jego usta ostrzec pędzącą ku zgubie ludzkość.

Skalskiego współczucie i zmysł odpowiedzialności sięgnęły dalej, objęły całą przeszłość świata. W patetycznych i pełnych grozy zdaniach rozwodzi się on nad tym, jak od tysięcy lat, od chwili wstąpienia człowieka na ziemię, obojętna i cierpliwa przyroda, wszystkie żywioły i wszystkie stworzenia nasiąkają stopniowo złością ludzką, która wylewa się na nie bez przerwy, jak powódź spadająca z gór w spokojne doliny. Cóż stanie się w końcu z tym światem, który opuchł już od nieprawości człowieka, który nabity jest nią po prostu do granic wytrzymania?

Na jedno kładł Skalski szczególny nacisk, do jednej myśli przymusowej wciąż wracał: że najgorsze, najbardziej zabójcze jest w człowieku zło właśnie nieujawnione, to, o którym inni nie wiedzą i często człowiek sam nie wie, które przecieka z ukrycia w duszy ludzkiej prosto w żyły świata i zatruwa je. Zło ujawnione i wyładowane jest mimo wszystko mniej groźne, jak wylana trucizna; można je dostrzec, można się od niego chronić. Przy tym pasje i uczucia zgnębione, schowane na dnie duszy, zagnane w ślepą ulicę bez wyjścia, bronią się właśnie najzacieklej, jak osaczone zwierzęta i są, jak takie rozjuszone bestie, szczególnie drapieżne i niebezpieczne. Oczywiście Freud, którego Skalski musiał dawniej czytywać, kazał się tu kłaniać, ale Freud jakiś niesłychanie żywy, plastyczny i sugestywny w tym obłędnym wcieleniu.

I oto ten oszalały kandydat na świętego postanowił łamać przede wszystkim to zło nienazwane, nieuchwytne, utajone do niepoznaki w głębi duszy i przez trzeźwy świat nie nazywane nawet złem. Jeżeli można wierzyć temu zdumiewającemu wyznaniu, była chwila, kiedy Skalski przezwyciężył swój podziemny świat. Doszedł do stopnia czystości trudnej do pojęcia, kiedy nie zostało w nim ani jednego uczucia ni myśli, które mogłyby kogokolwiek ukrzywdzić.

Ale wtedy zaskoczyła tego męczennika doskonałości nowa trudność. Skalski naraz zwrócił uwagę na sny. Zauważył po jakimś dniu wielkiego spokoju, dniu absolutnego tryumfu nad bestią ludzką w sobie, że oto sen, który go naszedł w nocy, był przerażający. Skalskiemu śniło się, że bije się ze swoim zmarłym bratem, że okłada go ciosami bez opamiętania. To mu otworzyło oczy. Wiedział już, czemu zawdzięcza swój spokój, swoje złudne zwycięstwo.

Zło, tępione na jawie, skryło się w sny. Tam już nie sposób go dostać. Umykało się tam wszelkiej woli, wybuchało zuchwałe i niedostępne, naigrawając się z ludzkich wysiłków. Zawiść, okrucieństwo, chęć mordu, zło najbardziej niebezpieczne, cały jad ludzkiej natury cofnęły się w bezpieczną twierdzę snu i stamtąd jeszcze groźniej, niż z jawy, zatruwały otaczający świat. Teraz już nie było ratunku.

Samobójstwo Skalskiego nastąpiło drugiego dnia wojny. Wybuch jej raz jeszcze ujawnił złudę pozornego tryumfu Skalskiego i rozwalił z miejsca jego chwiejną i z trudem zdobytą równowagę psychiczną. Skalski wytłumaczył sobie, że skoro nastąpiła rzecz najstraszniejsza, nie mogło się to stać bez jego zawinienia. I oczywiście, winę tę odnalazł w swoich snach. Przypomniał sobie, czy po prostu uroił, że w ostatnich miesiącach śniła mu się kilkakrotnie wojna. Tak więc znowu **on** wywołał to największe nieszczęście świata — wojnę.

W tym czasie przebywał już we Francji. Rodzina wysłała go z Polski do Paryża jakoby dla dalszych studiów malarskich, prawdopodobnie zaś w nadziei, że w nowym środowisku zaleczy swą ranę, że zapomni. Nie zapomniał. I właśnie w Paryżu zaskoczyła go wojna, którą, w swoim przekonaniu, rozpętał. Skalski raz jeszcze nie cofnął się przed najcięższymi konsekwencjami tej urojonej przewiny — wydał na siebie najsurowszy i bezkompromisowy wyrok. Pisze on na ostatnich kartkach swej spowiedzi: „Człowiek jest zły, zły w samej swej istocie. Niepodobna wytrzebić złości. Wygnana z zakamarków jawy, przenosi się w sny jak śliski i nieuchwytny gad. Cały świat jest zatruty i zginie od tej nieuchwytnej, utajonej we mnie złości. Jeśli chcę pomóc Bogu i ocalić świat, mam jedno wyjście — usunąć siebie, zniszczyć siedzibę złości. Muszę więc umrzeć".

Ale pisząc to Skalski nie był chyba zdecydowany na śmierć. Ważył tę myśl, rozprawiał się ze sobą i jeszcze wciąż nie był pewny, czekał na jakiś znak z góry. Znak przyszedł. Głosy. Odmiennym, rozlatanym zupełnie i nieczytelnym charakterem wpisał Skalski ostatnie wiersze swej spowiedzi: „Słyszę głosy. Słyszę je nawet w tej chwili. Mówią ze wszystkich stron pokoju, jakby przez ogromne głośniki. Głowa mi pęka od tego huku. Ostrzegają mnie raz jeszcze, raz już ostatni. Za chwilę będzie za późno. Mówią: zabij sam siebie, zanim zabijesz świat, zabij siebie, za..."

Na tym niedokończonym słowie urwał się rękopis. Potem był już zapewne tylko huk wystrzału.

Zamknąłem ten przerażający pamiętnik. Kto go pisał? Wariat, bohater czy mędrzec? Granice zdumiewająco się zacierały. Przypomniał mi się werset z Hamleta: „W szaleństwie tym jest metoda". Zapragnąłem porozmawiać raz jeszcze z tym człowiekiem.

Przyjaciel mój zaczął już swój popołudniowy obchód, poszedłem więc do separatki bez niego. Zastałem malarza w tym samym miejscu, w tej samej postawie, co przed dwoma godzinami: z pędzlem w ręku przed pół zamalowaną ścianą. I tak samo nie odwrócił głowy, zdawał się nie słyszeć kroków, jak gdybym w ogóle nie wchodził do pokoju. Przez chwilę stałem, namyślając się od czego zacząć, a potem powiedziałem wprost:

— Czy nie zechciałby pan objaśnić mnie, co te obrazy znaczą?

Ku mojemu zdziwieniu malarz, jak gdyby tylko czekający na to najważniejsze pytanie, odpowiedział głosem stłumionym i zda się wypranym starannie z wszelkiej emocji, podobnie jak maska jego twarzy:

— To jest ostrzeżenie dla świata.

Ośmielony, pytałem dalej:

— A dlaczego pan nie maluje płócien? Dlaczego na tych ścianach?

— To pan nie wie? Przecież tylko mury się ostaną, gdy przebierze się miara i nadejdzie kres.

— Kres?

— Ach, wy głusi i ślepi! Wszyscy chcecie zejść ze świata nieprzygotowani. Na darmo ostrzegam.

Dotychczas mówił odwrócony, jakby w ścianę lub do siebie. Lecz widać było, że słowa go ponoszą. Naraz podszedł ku mnie i zaczął mówić, jeszcze bardziej zniżając głos, niemal szeptem:

— Proszę pana, ja nie mogę stąd wyjść, mnie nie puszczą. Błagam, niech pan ode mnie ostrzeże wszystkich ludzi. Jeszcze tylko dziś. To ostatni dzień. Nikt tego nie wie i grzeszą dalej. Ale ja wiem, ja wszystko przewidziałem. Jutro przepełni się miara. Do jutra tylko jest czas. Jeżeli ludzie poprawią się choćby w ostatniej chwili, można jeszcze ocalić świat. Niech pan idzie i mówi wszystkim. Niech pan idzie w tej chwili!

— Ale co mam mówić?

— Nie ma czasu, nie ma ani chwili czasu. Ziemia już straciła cierpliwość — nienawidzi, jak my, chce mordować, jak my! Cała materia ożyła, nasycona ludzką złością. Koniec się zbliża — to, co święty Jan przepowiedział w Apokalipsie. Słyszy pan: góry wstają, morza wylewają się z brzegów. Żywioły ruszyły, by skończyć z człowiekiem. Już idą od bieguna; jutro tu będą. We wszystkich fabrykach warczą już z gniewu motory; domy drżą w fundamentach, by nas pogrzebać.

Przyłożył ucho do ściany: — Tutaj słychać! O tu... Czy pan słyszy?

Ten, co teraz do mnie mówił, a właściwie krzyczał niby jakiś starożytny prorok wśród pustyni, to nie był ten sam człowiek. Sztywna jego twarz niesamowicie ożyła, oczy płonęły, trząsł się cały od uniesienia.

Chciałem uspokoić go, a może przede wszystkim powiedzieć na odchodnym jakieś miłe, łagodne słowo, jakie się zazwyczaj mówi tym biednym ludziom zagubionym w świecie własnych urojeń.

— Widzi pan, jak to dobrze, że się pan wtedy nie zabił. Któż by nas ostrzegł przed zgubą? Jest pan jeszcze bardzo potrzebny.

Odpowiedź usłyszałem od razu cichszą, znowu tym samym stłumionym i martwym głosem, jaki poznałem na początku:

— Nie, mnie już nie ma. To tylko głos pozostał. Mnie już dawno nie ma.

Nie potrafiłem już zapytać, co Skalski chciał przez to powiedzieć.

Właściwie uciekłem.

Na ulicę wyszedłem w zupełnym zamyśleniu. Doznałem wrażenia, jakiego doznaje się nieraz po wyjściu z przejmującego filmu — że wszystko, co się widzi wokoło, jest jeszcze wciąż dalszym ciągiem filmu, że nie ma przedziału między światem z ekranu a rzeczywistością.

Do Londynu miałem pół godziny koleją. Nie pamiętam ani drogi ani tego, co myślałem. Stacje mijały jak w niewyraźnym śnie. Dopiero miasto uderzyło mnie swym obrazem. Zatłoczonymi jego ulicami parły samochody, ciężarówki, trolejbusy niby jakieś przedpopotowe zwierzęta na swoim tropie. Ogromne budynki wisiały nad tym mrowiem ludzi i maszyn, zdawało się, w złowrogiej zasadzce. Była właśnie godzina „rush'u" i niespokojny tłum zjeżdżał w otwarte gardło kolejki podziemnej. Prawdziwie, jakby go pochłaniała ziemia. Gdzieś, z wysoka wdzierał się w nieustanną wrzawę ulicy drżący warkot bombowca, wracającego z bojowych ćwiczeń.

Lęk wyniesiony ze szpitala, ożył we mnie i rósł, rósł... Zaczęło mi się wydawać, że to miasto-olbrzym, zarojone ludźmi i maszynami, oblega mnie i zgniata, jak zwierzaka schwytanego w potrzask. Zapragnąłem uciec stamtąd, wskoczyć w pierwszy z brzegu

(Dokończenie na str. 4)

ŻYCIE

KATOLICKI TYGODNIK RELIGIJNO-KULTURALNY

NIEDZIELA, 23 stycznia 1955.

Listy i dyskusje

Jak daleko może sięgać licentia poetica?

Drogi Panie Redaktorze!

W „Zleceniu" Zofii Kossak w numerze gwiazdkowym ŻYCIA biskup Prandota mówi: „...Ojciec święty Pius II pisał..." A wszak Pius II rządził Kościołem dopiero w dwieście lat potem!

Falisław opowiadając o widzeniu biskupa Wisława zaręcza, że biskup Wisław (zagadkowo) powiedział mu tylko tyle: „Idź do Prandoty, powiedz, niech dokona tego, com zaniedbał... Na święte Imię Jezusowe przysięgam, jako nic więcej nie powiedział..." Natomiast tak zwany Żywot Większy św. Stanisława „podaje opis objawienia się biskupa Wisława (1229-42), poprzednika Prandoty, pewnemu żołnierzowi, który we śnie widział biskupa Wisława przed katedrą, do której starał się wejść na próżno. Zapytany przez żołnierza o przyczynę tego, biskup Wisław odpowiedział, że to sam Stanisław zabrania mu wejść do katedry, dlatego, że będąc tak długo biskupem pozwolił na to, żeby ciało jego ‚leżało w ziemi'. Dlatego też nakazał Wisław żołnierzowi udać się do biskupa Prandoty i żądać, ażeby wyjął natychmiast ciało św. Stanisława z ziemi, umył je winem i wodą i umieścił w odpowiedniej trumnie." W ten sposób streszcza to widzenie ks. dr Jan Lisowski w wydanej w roku 1953 książce: „Kanonizacja świętego Stanisława w świetle procedury kanonizacyjnej Kościoła dzisiaj i dawniej", str. 177. Dlaczego więc dziewięcioletniej dzieweczce, błog. Jolancie, wkładać w usta wyjaśnienie, co miał na myśli biskup Wisław, mówiąc z a g a d k o w o, że Prandota ma dokonać tego, czego on zaniedbał?

Nie widzę też powodu, by biskupowi Prandocie Autorka kazała wypowiadać zdania niezgodne z nauką Kościoła i praktyką Świętych. Prandota stwierdza: „Orędowników potrzeba, co by się do Boga za nami wstawili. Ot, szczęśliwi Wielkopolanie! Mają św. Wojciecha i modły do niego zanoszą podobnież bardzo skuteczne..." Na to Kinga: „My mamy św. Floriana relikwie..." W odpowiedzi Prandota zakłopotany stwierdza: „Słusznie prawicie, Wasza Miłość, mamy... Wielki męczennik św. Florian... jeno... nie tutejszy... Rzymski rycerz, co mu do naszych, polskich spraw?" A wszak i Małopolanie mogli uciekać się z równym zaufaniem do orędownictwa św. Wojciecha! A jeśli chodzi o św. Floriana, to powiedzenie wyżej przytoczone jest krzywdzące dla Świętego, bo praktyka Świętych jest inna. Ażeby poprzestać chociaż na jednym przykładzie, błog. Anna Maria Taigi, swym wstawiennictwem po śmierci, pierwszy cud wyjednała dla f r a n c u s k i e g o dziewczęcia, ona W ł o s z k a !

Władysław Jelonek

„Wstępy", „przedmowy" i koniec dyskusji

Szanowny Panie Redaktorze!

Było moją szczerą intencją nie kontynuować dyskusji z p. J. B. na temat kultury. Jeżeli piszę jeszcze raz — tym razem chyba ostatni — to dlatego, że w ostatniej odpowiedzi p. J. B. znalazły się pewne akcenty, które, moim zdaniem, powinny otrzymać odpowiedź. Przypisuje mi, bowiem, p. J. B. oskarżanie Go o nieuctwo. Otóż każdy, kto czytał mój pierwszy list w tej sprawie i odpowiedź Autora „Po łepkach" stwierdził z łatwością, że ograniczyłem się tam do dyskutowania wyłącznie poglądów zawartych w felietonie o kulturze a nigdzie nie dyskutowałem samej osoby Autora. Natomiast p. J. B. rozpoczął swą odpowiedź od stwierdzenia, że nie zajrzałem jakoby przed napisaniem tego listu, do żadnego podręcznika logiki. Słowem, oskarżył mnie właśnie o nieuctwo, n.b. wiedząc najprawdopodobniej, że w ramach kursu filozofii tomistycznej oczywiście musiałem „zajrzeć" do niejednego podręcznika logiki. Muszę uważać tego rodzaju strategię za zwykłą metodę „łapaj złodzieja".

Również, ani w pierwszym ani w drugim moim liście nie „zalecałem" p. J. B. żadnej lektury dokształcającej ani nie „radziłem" Mu przeczytać żadnych popularnych dzieł o charakterze wprowadzającym do filozofii, co jednak, w sposób cokolwiek spóźniony, czyni mój Oponent w odpowiedzi na mój drugi list. Gdybym chciał być złośliwy, mógłbym zauważyć, że zamiast „zalecać" innym czytanie „wstępów" i „przedmów", nawet najlepszych, lepiej jest czasem poprostu przestudiować to, co zwykle następuje po wstępach i przedmowach... Myślę, że w takich warunkach uniknęło by się wypowiadania takich sądów, jak np. że pojęcie, termin i definicja mają tylko to wspólnego, że są wytworami ludzkiego umysłu. Może dostrzegło by się, że łączy je także przedmiot (res), który określają. A to właśnie jest podstawą umiarkowanego realizmu tomistycznego i to właśnie można znaleźć także i w „zalecanej" mi książce Maritaina „Wprowadzenie do filozofii".

Napisał p. J. B. w swym felietonie, że „kultura... jest pojęciem... stanowczo niezdeterminowanym". A teraz pisze: „nigdzie nie twierdziłem, iż „kultura jest pojęciem, którego nie da się zdefiniować".

Napewno nie „zakazuję" nikomu używać pojęć, których nie umie ten ktoś zdefiniować, jak słusznie mnie przestrzega p. J. B., ale wolno mi się dziwić, jeżeli ktoś nie tylko używa takich pojęć i terminów, ale także je definiuje, w sposób całkiem dowolny. Cóż, albo się stwierdza, że się nie umie, albo że się umie... Ale jeżeli się już definiuje, to trzeba przestrzegać praw logicznych rządzących definicją.

Stwierdza p. J. B., że „o pojęciach warstwowych... traktuje każdy podręcznik, nawet przypuszczalnie taki, który p. Jasieńczyk studiował „na rok przed maturą". Chwyt zgrabny, tylko czemuż ani jednego konkretnego tytułu takiego podręcznika? Ani przed maturą, ani w trakcie studiów uniwersyteckich, ani potem nigdy nie napotkałem jeszcze takiego podręcznika. Również moi wykładowcy nie zdawali się być obeznani z „pojęciami warstwowymi", chociaż wykładali o wzajemnym stosunku treści i zakresu (nie „pojęcia") — w pojęciu. Mimo to — odwdzięczając się — „nie zazdroszczę" p. J. B. wiedzy o „pojęciach warstwowych".

Cytowana wypowiedź Maritaina dowodzić może jedynie tego, że p. J. B. zgadza się z popularnym wśród autorów francuskich identyfikowaniem terminów „kultura" i „cywilizacja". Jest to jednak sprawa pod dyskusję. W języku francuskim wyraz „culture" oznacza oryginalnie tylko rolnictwo. Stąd niechęć do skojarzeń cywilizacyjnych. Inaczej na tę sprawę patrzy Gonzague De Reynold. Wywodzi on wyraz „kultura" od łacińskiego „colere" — czcić, uprawiać. Kultura, w znaczeniu humanistycznym, to uprawa, kultywowanie wartości ludzkich. Cywilizacja, od wyrazu „cives" i „civitas", określa warunki życia zbiorowego wytworzone pracą społeczeństwa, „obywateli" czy „państwa". Z taką definicją kultury i cywilizacji godzi się także prof. filozofii tomistycznej, Father Felim O'Brien z uniwersytetu w Galway. Gdyby ktoś interesował się bliżej jego definicją — chętnie jej dostarczę.

Wreszcie, z tego, że „kultury... będące wytworem ludzi... muszą podlegać zmianom" wcale nie wynika żaden relatywizm w definiowaniu kultury. To, że coś jest stworzone czy wytworzone przez kogokolwiek i że ulega zmianom, nie przeciwstawia się możności definiowania. Nóż pozostaje nożem nawet gdy zardzewieje. Czy jest zrobiony z drzewa, czy z miedzi czy ze stali również nie zmienia jego przynależności do klasy noży. Definicje poszczególnych noży będą się różnić „akcydentami", ale nie istotą. Podobnie i kultury. Mogą być nieraz skrajnie różne kultury, ale tak długo, jak nie stają się czymś sprzecznym z definicją kultury, mamy prawo rozważać je w klasie pojęciowej „kultura".

Muszę się przyznać, że nie spodziewałem się niczego lepszego w tej całej dyskusji, którą pragnę naprawdę zakończyć bez względu na to, co odpowie czy nie odpowie na to Autor „Po łepkach". Pamiętam niektóre inne dyskusje na łamach ŻYCIA, w których tenże Autor pisał o przeciwniku w dyskusji, że jest tak znacznie słabszy, „że nie nadaje się do bicia", lub też powątpiewał „skąd to szanowny Oponent nabrał takiej wiedzy". Jeżeli, mimo to, podjąłem dyskusję, to w przekonaniu, że Czytelnik sam zechce osądzić wartość tych rozważań i że temat powinien być ujęty inaczej, niż w felietonie, ktory rozpoczął dyskusję.

Roman Jasieńczyk

Jestem większym optymistą niż P. R. Jasieńczyk i wydaje mi się, że dyskucja z Nim pewien jednak pożytek przyniosła. Między sądami wygłoszonymi przez P. Jasieńczyka w pierwszym i w trzecim liście leży przepaść. Obecnie już wie On, że pojęcie i definicja, to dwie różne rzeczy i tylko docieka co je łączy; przedtem twierdził, że „kultura nie jest jednoznaczna z cywilizacją" i że Maritain też jest tego zdania, obecnie twierdzi, że to tylko Gonzague de Reynold (na podstawie zupełnie fantastycznej etymologii) oraz profesor z Galway rozdzielają te pojęcia (pojęcia!). Nawiasem mówiąc, takich pisarzy, którzy zdecydowanie przeciwstawiają kulturę cywilizacji można by wymienić dziesiątki. Przedtem P. Jasieńczyk był pewien, że kultura i cywilizacja, to dwa różne pojęcia, obecnie twierdzi, że to „sprawa pod dyskusję" (po polsku powiedzielibyśmy: do dyskusji). Przedtem mnie P. Jasieńczyk piętnował, że nie potrafię poprawnie zdefiniować cywilizacji, a dziś już gotów jest co najwyżej „dostarczyć" definicji Ojca O'Brien, nie własnej.

Jest więc pewna korzyść z dyskusji.

Przyniosła ona też, niestety, trochę szkody. Nie od dzisiaj z żalem śledzę niepokojącą pewność siebie młodego pokolenia studentów polskich, którzy pokończyli uczelnie angielskie i irlandzkie. Wynieśli oni ze swych szkół, jeśli idzie o humanistów, przyzwoite, ale całkiem przeciętne i dość ciasne wykształcenie, a także przekonanie, że osiągnęli szczyty wiedzy, dozwalające im na spoglądanie z góry i poucznie starszych. Styl swój przenoszą także na inne dziedziny życia, na pojęcia społeczne i polityczne, na obyczaj itd., uważając przyswojone sobie w uczelniach angielskich poglądy za niesłychanie nowoczesne i postępowe.

P. Roman Jasieńczyk ze swymi irlandzkimi studiami jest typowym okazem tej mentalności. Zażegnuje się wprawdzie po angielsku, że „nigdzie nie dyskutował samej osoby Autora" (po polsku powiedzielibyśmy: o osobie) i nie radził mu „przeczytać żadnych popularnych dzieł" — i oto w tymże samym liście raz nazywa dyskusję ze mną „strategią łapaj złodzieja" (po polsku powiedzielibysmy, gdybyśmy w ogóle użyli podobnego wyrażenia w kulturalnej dyskusji: „metodę"), to znowu zarzuca mi spóźnione czytanie dzieł popularno-filozoficznych (n. b. nie ośmieliłbym się określić Maritaina autorem... popularnym) i wreszcie stwierdza, że „nie spodziewał się niczego lepszego w tej całej dyskusji" (po polsku powiedzielibyśmy: po tej całej dyskusji), gdyż autor „Po łepkach" wyraził się kiedyś tak to a tak. W poprzednim liście pomawiał mnie P. Jasieńczyk, że nie miałem nigdy do czynienia „z tą pożyteczną nauką" (logiką), dalej, że „nie spotkałem się dotąd jeszcze z neotomistycznym pojęciem kultury i cywilizacji" (nadal nie rozumiem, jak pojęcie może być neotomistyczne), zalecając mi z tej racji trzech autorów itd. Wyszło na jaw, że to P. Jasieńczyk coś poplątał z tym neotomizmem i nie czytał co najmniej jednego z autorów, którego mi zalecał. Poplątał też elementy logiki i szereg innych zagadnień.

Gorzej, bo je piącze z uporem dalej. Miesza np. determinowanie i definiowanie. Wypowiada tak dziwaczne sądy, jak np. że kultury równocześnie mogą być „skrajnie różne" i zarazem nie różnić się co do swej istoty, z czego by wynikało, że kultura materialistyczna i kultura chrześcijańska, to w istocie ta sama kultura, przy różnych „akcydentach" (po polsku powiedzielibyśmy: cechach przypadkowych), co jest najoczywistszym relatywizmem. W rzeczywistości bowiem dwie wymienione kultury różnią się właśnie w swej istocie, a podobieństwo ich polega wyłącznie na cechach przypadkowych. A już wprost rozbrajające jest zdanie: „...zamiast zalecać innym czytanie „wstępów" i „przedmów", nawet najlepszych, lepiej jest czasem po prostu przestudiować to, co zwykle następuje po wstępach i przedmowach..." „Po prostu..." Przecież, jeśli się skończyło „kurs filozofii tomistycznej", trzeba wiedzieć, że większość podręczników do nauki filozofii nosi tytuły „wstępów" lub „przedmów", a kto to jak początkujący żak ironizuje, ten daje świadectwo, że nie miał ich chyba w ręku zbyt wiele, a w każdym razie nie zna dzieł filozoficznych Maritaina. I cóż to za filozofia tomistyczna w XX wieku — bez Maritaina? Doprawdy, lepiej się zabrać do uczciwej lektury niż rozsiewać nieuporządkowane wymiki różnych zagadnień z propedeutyki filozofii, które zna każdy przeciętny inteligent. Popisy w tej dziedzinie, w rodzaju wywodu o „akcydentach", w piśmie kulturalnym są dość ambarasujące.

P. Roman Jasieńczyk winien zrozumieć wreszcie, że felieton nie jest wykładem naukowym. Pisarz szkicuje problemy; odsłania je, lecz nie rozwiązuje, poddaje krytyce, lecz nie docieka, śledzi, lecz nie sądzi. Cała ta pseudonaukowa dyskusja nad zwykłym dziennikarskim felietonem jest bodaj dziwaczna i dlatego trzeba ją zakończyć.

Z melancholią myślę, że coraz rzadziej w dyskusjach z przedstawicielami młodego pokolenia chodzi o poruszane przedmioty, a coraz częściej o osobisty honor polemistów. Istotnie, czego dobrego spodziewać się po dyskusji, skoro temat: „jaką jest polska kultura?" rozwija się gwałtownie w sprzeczkę: „czy Roman Jasieńczyk czytał czy nie czytał Maritaina?"

J. B.

KAIN

(Dokończenie ze str. 3)

autobus i jechać, jechać gdziekolwiek, byle dalej od domów, maszyn i tłumu.

Raz jeszcze, jak już wielokrotnie w życiu, odczułem, jak blisko czasami dotykamy szaleństwa. Czyż jednak w obrazie tego miasta-potwora nie sprawdzała się potrosze apokaliptyczna wizja oszalałego malarza? Może nie dosłownie, nie wprost, jak roił Skalski, ale na pewno wracały tu w jakiś sposób pycha, chciwość i złość człowieka, aby go z czasem zniszczyć, wracały jak bumerang uderzający we własnego pana.

Mijałem właśnie pub na rogu ulicy. Przez wielkie szyby widać było ludzi poruszajacych się wewnątrz bezgłośnie, rzekłbyś, kukły beztroskie i bezduszne. Skręciłem z miejsca w drzwi pubu, w ten beztroski świat spoza szyby. Jeden kieliszek dżynu, dwa, trzy. Po czwartym świat był znowu normalny, spokojny i bezpieczny. Wyzwolone bestie powróciły posłusznie na łańcuch.

Wit Tarnawski

(Opowiadanie wyjęte z tomu opowiadań pt. „Ucieczka", który ukaże się wkrótce nakładem księgarni „Orbis" w „Bibliotece Autorów Polskich")

N O T A T K I

S ŁYSZY SIĘ często zdanie, że emigracja w żadnej dziedzinie twórczości nie może się równać z Krajem. Tam, naród blisko 27 milionowy, własne, bądź co bądź, państwo, warsztaty pracy często pierwszorzędne, atmosfera wśród własnego społeczeństwa itd. Jeśli chodzi o naukę i piśmiennictwo — tam, ostatecznie, domy wydawnicze, przyzwoite wynagrodzenie za pracę, a przede wszystkim, biblioteki, archiwa i własna gleba kulturalna, zwłaszcza językowa.

A jednak na emigracji trafiają się dzieła nie tylko takie, które by w niewoli duchowej nie mogły powstać i dlatego możliwe są jedynie na emigracji, lecz i takie, które by się zasadniczo mogły pojawić w Kraju, a wyprzedzające twórczość tamtejszą.

Takim dziełem jest historia „Polskich Sił Zbrojnych w drugiej wojnie światowej" w opracowaniu Komisji Historycznej Polskiego Sztabu Głównego w Londynie. Oto na półkach księgarskich pojawił się trzeci z kolei tom tej pracy, drugi na temat „kampanii wrześniowej 1939", obrazujący przebieg działań wojennych na ziemiach polskich od 1 do 8 września. Tom, duże octavo, liczy 816 stron druku, 44 szkice, 23 rozdziały, przedstawiające przebieg działań na terenie międzynarodowym i wstępne działania wojenne sojuszników, skrót rozwoju wypadków w Polsce na tle działań strony niemieckiej jako posiadającej inicjatywę, wreszcie dzieje bojów poszczególnych armii, w których opisano działania do szczebla brygady, a czasem i niższych szczebli. Źródła niemieckie o kampanii polskiej są na razie bardzo skąpe, więc polska Komisja Historyczna oparła swą pracę zasadniczo na opracowaniach i relacjach dowódców i na tych źródłach z okresu walk, jakie na obczyźnie były dostępne. „Nie było rzeczą możliwą — czytamy w przypisach — podanie kompletnego wykazu zużytkowanych relacji z powodu wielkiej ich ilości." Podano więc tylko wykaz ważniejszych. Obejmują one 20 bitych stron maczkiem, jedna tuż po drugiej bez odstępów.

Praca, jak widać, benedyktyńska, a przy tym wymagająca niepospolitego zapału i umiłowania przedmiotu. O omówienie książki poprosimy któregoś z dobrych znawców przedmiotu. Na razie trzeba stwierdzić, że jest to dzieło niezwykłe, ogromnej wagi dla narodu i bodajże najważniejsza i najcenniejsza księga polska, jaka pojawiła się na obczyźnie w ciągu piętnastu lat od naszej tragicznej klęski.

D OWODEM uznania dla naszych historyków wojskowych na emigracji jest „polski tom" czasopisma Międzynarodowego Komitetu Nauk Historycznych (Komisji Wojskowej Historii Porównawczej) p. n. „Revue Internationale d'Histoire Militaire". Ten gustownie wydany tom pojawił się przed kilku tygodniami, chociaż jest częścią rocznika 1952. Posiada 146 stron i 7 plansz. Opracowała go komisja pod kierownictwem gen. Mariana Kukiela. Na treść składają się prace: gen. Wł. Andersa (przedmowa), T. Sulimirskiego („Łucznicy konni, lekka kawaleria starożytności"), ś. p. O. Laskowskiego („Polska sztuka wojenna w XVI i XVII wieku"), A. Sawczyńskiego („Polskie instytucje wojenne w XVII wieku"), M. Kukiela („Początki strategii i taktyki powstań polskich w XVIII i XIX wieku"), Cz. Chowańca („Polska mapa wojskowa z XVII wieku"), rzecz anonimowa o „polskich zbiorach wojskowych za granicą" oraz kroniki wydawnictw, wśród nich wspomnienie pośmiertne o ś. p. Ottonie Laskowskim pióra płk. Olof Ribbinga, przewodniczącego Międzynarodowej Komisji Historii Wojskowej.

To piękne wolumen dumnie świadczy o pracy i talentach historyków naszej wojskowości, skupionych na szańcach wolnej nauki polskiej — w londyńskim Instytucie Historycznym im. Gen. Sikorskiego i w paryskiej Bibliotece Polskiej.

S ĄD KONKURSOWY na słuchowisko dla Teatru Wyobraźni „Głosu Wolnej Polski" przyznał następujące nagrody:

Pierwsza nagroda: 400 dol. Michał Sambor, Londyn. Tytuł pracy: „Łódź, w której była jeszcze litość".

Dwie drugie nagrody po 300 dol: 1) Janusz Kowalewski, Londyn. Tytuł pracy: „Sprawa Anny". 2) Zofia Bohdanowiczowa, W. Brytania. Tytuł pracy: „Niedziela".

Trzy trzecie nagrody po 200 dol.: 1) Zbigniew Jasiński, Australia. Tytuł pracy: „Rzecz o korkach i piórkach". 2) Zygmunt M. Jabłoński, Londyn. Tytuł pracy: „Jest pan wolny". 3) Przemysław A. Szudek, Londyn. Tytuł pracy: „Reduta Jacqueline".

Prace wyróżnione: 1) Karol Lewkowicz, Londyn. Tytuł pracy: „Dwa sumienia". 2) Zofia Romanowiczowa i Władysław Wantuła, Francja. Tytuł pracy: „Świnka przeszła Pireneje". 3) oraz autor pracy „Naród nasz jak lawa", który nie życzy sobie ujawniania nazwiska.

Michał Sambor jest pracownikiem Katolickiego Ośrodka Wydawniczego „Veritas". Oprócz niego, jeszcze czterej laureaci są mocniej (panie Zofia Bohdanowiczowa i Zofia Romanowiczowa) lub luźniej (Janusz Kowalewski, Zygmunt M. Jabłoński) związani z ŻYCIEM i Ośrodkiem „Veritas". Wyniki konkursów literackich, jakie się ostatnio odbyły, wykazują — przeciwnie niż nagrody, gdzie znaczną rolę odgrywa tzw. kumoterstwo pisarskie — że zarówno pisarze katoliccy, jak i tematyka katolicka wysuwają się na czoło na obczyźnie. Znamienny jest również zwrot do tematów krajowych, zapoczątkowany wspaniałymi „Turystami z bocianich gniazd" Czesława Straszewicza.

O PRACACH Katolickiego Ośrodka Wydawniczego „Veritas" mówił w Nowy Rok przez radio Wolnej Europy kurator Ośrodka, płk Adam Kosiba.

W ZNANEJ londyńskiej galerii „Beaux Arts", w ramach wystawy nowoczesnego malarstwa i rysunku, znajduje się kilka obrazów Zygmunta Turkiewicza.

Turkiewicz jest artystą nie tylko jako malarz, ale i jako człowiek. Posiada zupełnie oryginalny, nie podrabiany styl i dąży zarówno w sztuce jak w życiu do wyrażenia tylko tego, co jest niezaprzeczenie własne. Jego charakter odrzuca wszelką giętkość. Twórczość Turkiewicza, to nieustanna męka szukania i odrzucania, złudnych odkryć i ciągłych wyrzeczeń, splot niemal dziecięcych radości i czarnych smutków, prawdziwa asceza artystyczna.

Gdybyż to dziś istniał, jak przed wiekami, mecenat i gdyby dziś miłość sztuki była ta sama co przed wiekami! Zygmunt Turkiewicz byłby już autorem wielu monumentalnych prac, bo jest to malarz szerokiego oddechu, wielkich przestrzeni, szerokich panneaux, fresków. A tymczasem jako uchodźca z własnego kraju, w świecie przekupniów sztuki, musi się męczyć w swej samotni i odgraniczać od świata dumą, czyniąc ze swej pustelni bogatą galerię nowoczesnego malarstwa, utrwalając na płótnie i drzewie swoje rozmowy ze sztuką. Ta duma jednak, niepodległość ducha, obok twórczej uczciwości, są istotą stylu Turkiewicza.

J. B.

Z A P I S K I L O N D Y N S K I E

ARCHEOLOG I OBROŃCA WOJNY

W pierwszych dniach stycznia zmarł w domu swym w Kencie 88-letni archeolog brytyjski Sir Arthur Berridale Keith, sława w swojej dziedzinie. Kiedyś odkrył wśród szkieletów w jaskini na górze Karmel w Palestynie szkielet z kością lędźwiową złamaną na skutek uderzenia włócznią; szkielet pochodził sprzed co najmniej 100 tysięcy lat. Sir Arthur określił to jako najdawniejszą w świecie ranę wojenną, jaka została do tej pory odkryta.

Wielkiej wrzawy narobiło swego czasu oświadczenie Keitha, że wojna jest narzędziem natury dla utrzymania zdrowia rodzaju ludzkiego. Gwałtownie zareplikowali pacyfiści i nie tylko pacyfiści. Poeta John Drinkwater odpowiedział gniewnym dwuwierszem.

„BRAKUJĄCEGO OGNIWA" NADAL BRAK

Keith należał do namiętnych poszukiwaczy tzw. „missing link" („brakującego ogniwa") w łańcuchu ewolucyjnym między małpą a człowiekiem. Jak wiadomo, niemal co roku prasa podaje o wykryciu w tej czy innej stronie starego świata szkieletu owego „missing link". Jak do tej pory, żaden z tych odkopanych szkieletów przekonywujących dowodów w tym zakresie nie dostarczył.

Lat temu z górą czterdzieści, w roku 1912, zakotłowało się w świecie archeologów na wiadomość o odkryciu w miejscowości Piltdown w Sussex czaszki, datującej się sprzed co najmniej pół miliona lat, a będącej jakoby ostatecznym dowodem, że „missing link" naprawdę kiedyś istniało. „Odkrycia" tego szkieletu dokonał Charles Dawson, adwokat z Sussex, z zamiłowań amator w zakresie geologii i archeologii, pozostający w przyjaźni z Arthurem Woodwardem, kustoszem departamentu geologii w British Museum. Obaj wspólnie postarali się o nadanie temu „odkryciu" rozgłosu i istotnie większość uczonych w pierwszej chwili uwierzyła w odkrycie „brakującego ogniwa". Dopiero później, kiedy w różnych częściach świata wykopano szkielety, z których żaden w niczym nie przypominał „Piltdown Man" (po łacinie: „Eoanthropus Dawsoni"), wystąpiły wątpliwości, które stawały się coraz powszechniejsze. Dawson już ich nie dożył, zmarł bowiem w r. 1916.

Nieco więcej niż rok temu z górą nastąpiła nowa sensacja: okazało się, że cały ów „Piltdown Man" jest falsyfikatem, który można chyba porównać do tych wielkich fałszerstw w literaturze, jakimi były „Pieśni Ossjana" Macphersona", z tą tylko różnicą, że utwory miały wysoką wartość artystyczną, „Eoanthropus" natomiast okazał się podróbką całkiem mizerną.

Zdemaskowania fałszerstwa dokonali wspólnie dr Kenneth Oakley z Muzeum Historii Naturalnej w Londynie i dr J. S. Weiner z Oksfordu. Oakley udoskonalił wynaleziony poprzednio we Francji system badania wieku kości przy pomocy pewnej substancji mącznej i tą drogą stwierdził, że wiek czaszki „Piltdown Man" wynosi nie 500.000, ale najwyżej 50.000 lat, pochodzi więc z okresu, w którym rodzaj ludzki w obecnej swej postaci był już na ziemi wcale licznie reprezentowany. W dodatku okazało się, że czaszka „Piltdown Man" składa się z dwóch części: większa jej część jest czaszką ludzką, szczęka natomiast pochodzi od orangutanga, i to całkiem nowoczesnego. Dawson zabarwił chromem szczękę, by upodobnić ją do czaszki, włożył we właściwe miejsce i potem zakopał je razem w miejscu, gdzie później dokonał swego „odkrycia".

Zmarły Sir Arthur Berridale Keith sam częściowo padł ofiarą fałszerstwa Dawsona. Przyznał to w liście do jednego ze swych znajomych dziennikarzy, w liście, który został obecnie ogłoszony przez „Sunday Times".

Cała historia zdemaskowania „Piltdown Man" opisana została w książce Joyce Emersona i dra Weinera „The Piltdown Forgery", która właśnie ukazała się w druku nakładem Oxford University Press.

Ż Y C I E Katolicki Tygodnik Religijno - Kulturalny. Wydaje Veritas Foundation Publication Centre. Adres Redakcji i Administracji: Polish Weekly ŻYCIE, 12, Praed Mews, London, W.2. England. Telefony: Redakcja: i Administracja: AMBassador 6879. Drukarnia: PADdington 9734. Godziny przyjęć w Redakcji: codziennie, z wyjątkiem sobót, niedziel i świąt, tylko od godziny 3.30 do 4.30 po poł. Administracja czynna codziennie od godz. 9 do 12 i od 14 do 17 z wyjątkiem sobót, niedziel i świąt. Redakcja rękopisów nie zwraca. W wyjątkowych wypadkach, na ewentualny zastrzeżony zwrot, prosimy dołączyć znaczki pocztowe. P R E N U M E R A T A płatna z góry i wynosi miesięcznie 4 szyl. 6d., kwartalnie 13 szyl., półrocznie 26 szyl. WPŁATY a) **w krajach bloku szterlingowego:** Postal albo Money Orderami lub czekami bankowymi „crossed" (//); b) **w krajach bloku dolarowego:** International Money Orderami lub zwykłym czekiem jakiegokolwiek banku amerykańskiego; c) **we wszystkich innych krajach:** do miejscowego przedstawiciela naszego pisma sposobem przyjętym w danym kraju lub międzynarodowym przekazem pocztowym. C E N Y O G Ł O S Z E Ń : 1 cal przez 1 łam — £ 10.0, w tekście — 50% drożej, na stronie tytułowej — 100% drożej. P R Z E D - S T A W I C I E L S T W A i CENA PRENUMERATY W RÓŻNYCH KRAJACH: ARGENTYNA: Przedstawiciel — **„Libreria Polaca"**, Serrano 2076, Buenos Aires. AUSTRALIA: Przedstawiciele: **„Vistula" (Australia) Pty**, 77, Pitt Street, Sydney oraz **„Społem"**, 85 Wattle Avenue, Royal Park, Adelaide, S. A. BELGIA: Przedstawiciel — **E. Kulakowska**, 101, Rue Auguste Lambiotte, Bruxelles. Prenumerata kwart. 90 frs. BRAZYLIA: Przedstawiciel — **Z. Kietlińska**, Av. Batel 1514, Curitiba, Parana oraz **Rev W. Slapa**, Rua Marques de Abrantes 215, Rio de Janeiro. FRANCJA: Przedstawiciel Generalny — **„Libella" Librairie**, 12, Rue St. Louis-en-l'Ile, Paris IV. Prenumerata kwart. 540 frs. HOLANDIA: Przedstawiciel — **B. Galas**, Fagelstraat 15A, Breda. KANADA: Przedstawiciele — **Canadian Mosaic Publishers**, Suite 1, 4118, Western Ave., Montreal 6, **International Book Service**, 57, Queen Str. W., Toronto i **„Radegast"**, 570, Aberdeen Ave., Winnipeg, Man. Prenumerata kwartalna $ 2.00. NIEMCY: Przedstawiciele: **S. Mizicjuk**, Seehammerstr. 4, Bar. 16 B/2 (13B) München 54 oraz **„Informacja Prasowa"**, Postfach 86 (23) Quakenbrück. Prenumerata kwartalna 8 RM. NORWEGIA: Przedstawiciel: **B. Łubiński**, Fagerturveien 14, Bestun ved Oslo. STANY ZJEDNOCZONE: Przedstawiciele: **„Gryf Publications"**, 615, Henry Street, Utica N.Y. oraz **M. Kijowski**, 13171, McDougall, Detroit 12, Mich., oraz **J. Stojanowska**, 424, Ave „E", Bayonne, N. Jersey oraz **„Pomoc" — Eksport Import**, 761, Fillmore Ave., Buffalo 12, N.Y. Prenumerata kwart. $ 2.00. SZWAJCARIA: **Mgr A. Bocheński**, Case Postale 19, Fribourg 2. Prenumerata kwartalna 5.00 frs. SZWECJA. Przedstawiciel: **Mgr B. Kurowski**, Lund, Revingegatan 13 B. Prenumerata kwartalna 10 kr. WŁOCHY: Przedstawiciel: **Mme Z. Bulhak-Jelska**, via Salaria 300 C, Roma.

W sprawach PRENUMERATY i OGŁOSZEŃ prosimy porozumiewać się z przedstawicielami.

Printed by: Veritas Foundation Press, 12, Praed Mews, London, W.2. Tel.: PADdington 9734